



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr

3

POPRAWKI HISTORYCZNE

3

49.1231

JÓZEF PIŁSUDSKI

POPRAWKI HISTORYCZNE



WARSZAWA 1931

INSTYTUT BADANIA NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI

COPYRIGHT BY INSTYTUT BADANIA
NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI,
WARSAW, 1931.

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona“, Warszawa, Nowolipie 2.

PRZEDMOWA

Dając do druku moje *Poprawki historyczne*, nie mogę nie poprzedzić ich specjalnym wstępem. Wstęp wydaje mi się nieodbitcie potrzebnym, gdyż boję się, że zostanie niezrozumiałą nie tylko moja praca, lecz i sam system, do którego, niestety, byłem zmuszony.

Moje *Poprawki historyczne* tyczą się okresu, w dziejach naszych znaczonego wybuchem wojny w sierpniu 1914 roku i samymi początkami Polski. Dziwię się nieraz, że takie proste prawdy i fakty historyczne są stale przekręcane i stale fałszowane. Niema bowiem żadnej wątpliwości, że przy wybuchu wojny w 1914 roku Polacy i Polska byli w stanie zupełnej prostracji i zupełnej bezsilności. Niezaprzeczonym jest więc faktem, że w każdym z zaborów wszyscy Polacy uczynili wszystko to, co im zaborca rozkazywał, to jest dali przede wszystkim bez żadnego zaprzeczenia i bez żadnych warunków życie i mienie, bo to jest dla wojny wymagane. Fakt ten jest tak niezaprzeczony i taki prawdziwy, że z prawdziwą przykrością czytać i słuchać można zaprzeczenie tego faktu przez upiększanie siebie i zresztą tylko siebie w jakiejś siły i jakiejś prace. Z wybuchem wojny nastąpił

fakt, oczywisty dla wszystkich państw, które wojnę prowadziły. Ten fakt oczywisty polegał na daniu siły władzy i decyzji nieraz w bardzo drobnych szczegółach tym, którzy wojnę prowadzili, to znaczy dowódcom wojskowym i ich sztabom, w odróżnieniu od niedawnych czasów, gdy ciż sami dowódcy wojskowi i ich sztaby nie znaczyły tak dużo i tak wielkich praw decyzji nie miały.

Jeżeli pominiemy ten fakt oczywisty, związany z Polską we wszystkich trzech zaborach, będziemy nie w historii, nie w prawdzie, ale w bajkach i w fałszu. Natomiast bardzo wielu ludzi w Polsce stara się niewiedomo poco opowiadać bajki i żyć w stałym fałszu. Robią oni na mnie wrażenie, jak-gdyby robak, deptany przez ludzi, chciał ubierać się w skórę lwa albo przynajmniej lamparta, albo też chciał zrobić z siebie wielkość słonia, który sam depta, nie będąc przez nikogo deptany.

Ta namiętność i ta śmieszność, z jaką ludzie starają się upiększyć siebie, dodać sobie siły, której nie mieli, i dodać rozumu, którego nie mieli także, jest niekiedy jakby znamię prób historycznych, czynionych dotąd w stosunku do tych wielkich wypadków, których świadkami było pokolenie, na szczęście schodzące już do grobu. Kiedy myślę o tem, zawsze jestem przepelniony zdumieniem. Niechybnie bowiem najprostszym jest uznanie faktu takim, jakim on był, i nietylko zgodzenie

się z nim jako z faktem historycznym, ale i uczynienie tego z zupełnym spokojem. Albowiem fakt ten może być bardzo przykrym historycznie i może Polskę, to jest dwadzieścia kilka milionów ludzi, pokrywać wstydem, ale poszczególny człowiek, gdy fakt ten jest tak powszechnym, tak jednolitym, jak może żaden fakt historyczny w Polsce, nie może mieć ani wstydu, ani czuć jakiegoś upokorzenia, gdy fakt ten jest powszechnym i dotykającym każdego. Uczynić to każdy spokojnie może, tem bardziej, że gdy z rozwojem wypadków otworzyły się drogi, przy których Polak mógł zacząć coś znaczyć, to ogromna ilość Polaków zaczęła próbować nie tylko swoich sił, ale i pokazywania zębów zaborcom. Wstydu zatem personalnego ogromna większość Polaków mieć nie może. Ale poco wyolbrzymiać ciągle karła, poco się ubierać w skórę lamparta i robić menażerję naodwrot?

Niewątpliwym więc jest faktem historycznym, że wraz z wybuchem wojny w sierpniu 1914 roku wszystko to, co stanowiło fakty historyczne i co zatem podłożem historii być musi, są władze wojskowe zaborców, które nieraz decydowały o małych nawet szczegółach życia historycznego. Władze te wojskowe, depcząc spokojnie wszystko, co polskie, zostawiły jednak jedną furtkę dla Polaków, to jest zupełną swobodę przeszkadzania każdemu Polakowi w czynieniu czegokolwiek, co nie jest ści-

śle zależne od tychże władz wojskowych i ich organów. Nie mogę zaprzeczyć ścisłemu faktowi, że wszystko to, co Polskę mogło reprezentować, skwapliwie to czyniło, czyniąc ją bardziej słabą i bardziej oddaną w ręce zaborców. A że tych zaborców było trzech, którzy na ziemiach Polski się bili, pustosząc ją przytem co wlezie, ta służba zaborcom czyniła coraz dalsze postępy; ponieważ zaś władze wojskowe, będące w wojnie, wiecznie są niesyte danych i wiadomości i wiecznie niepewne pracy nad odniesieniem zwycięstwa, powiększają stale i ustawicznie, nie żałując na to pieniędzy, system szpiegostwa, złączonego z użyciem człowieka do wszystkiego. Niechybnym więc jest także faktem, że Polacy, którzy wyobrażali sobie, że będą mieli drogą jakąś wpływ i znaczenie na wypadki, poszli na drogę szpiegostwa, gdzie wrota były otwarte naościę. Szpiegostwo to natychmiast przez zaborców skierowane zostało przeciwko Polakom i przeciwko wszystkim, kto siły Polski chciał budować. Drogi pod tym względem były łatwo otwierane i nosiły charakter najrozmaitszy. Robiono więc małe dogodności wszystkim tym, którzy dane i wiadomości dawali szpiegom. Dobierano na zewnętrzne wpływy i znaczenie tych, którzy tej pracy szpiegowskiej nie przeszkadzali, albo ją popierali. Ten fakt historyczny niechybnie już hańbi poszczególne osoby i czyni bardzo nierozumny-

mi i głupimi wszystkich tych, którzy temu systemowi ulegali. Także zaś niechybnym jest faktem, że zgodnie z tendencją ubierania się w skórę lamparta i w trąbę słonia — co jest tak rozpowszechnione w Polsce — i ci ludzie, którzy się shańbili szpiegostwem w stosunku do Polski i Polaków, ubierają się także w szaty Catonów, a przynajmniej Ciceronów, walczących z Catillinami.

Dlatego też sędzę, że system fałszu, związanego z wywyższaniem siebie do roli lamparta czy słonia, nadzwyczajnie silnie popiera wszystko to, co było hańbą, i wszystko to, co było niktzemem, w niedawnej jeszcze historii polskiej. I zawsze, gdy myślę o tem, nie mogę nie powiedzieć, że ta śmieszna manja wielkości mogłaby być usuniętą z historii zupełnie swobodnie, gdyż w ogólnej bezsilności i poddaniu się niewolniczemu losowi Polski niema ani osobistej hańby, ani nawet wielkiego upokorzenia. Niewątpliwym bowiem — co jeszcze raz powtarzam — jest fakt niezaprzeczony, że po paru latach wojny nadszedł czas znacznie lepszy dla Polaków, gdy Polacy mogli coś znaczyć i zaciężyć na własnych losach. I wtedy niewątpliwie znalazła się duża część Polaków, która nietylko usilnie szukała dróg i środków dla zwiększania siły Polski, ale ryzykowała nawet swoje życie i oddawała swoje mienie nie dla zaborców, ale dla Polski. Coprawda, i w tym okresie siłą istotną, siłą, znaczącą swojemi

decyzjami bieg historii, byli zaborcy, nie Polacy. I wtedy wszystko to, co Polskę chciało uzewnętrznić, szło na kondominjum, czyli na wspólnotę z tym czy innym zaborcą.

Niechybnie w tem stadjum historii wszystko to, co było hańbą Polski, to jest szpiegostwo w stosunku do Polski, szpiegostwo płatne, było musowo dopuszczonem do tegoż kondominjum, tak, ażeby Polska była słaba, a usiłowania tych, co Polskę chcieli zrobić silną, — jak najslabsze i praca jak najbardziej najeżona przeszkodami. Nie mogę więc i dla tego okresu ubierać ówczesnych prób zniszczenia siły Polski w skóry lwa i lamparta czy też dawać tym usiłowaniom trąbę słonia, depczącego spokojnie inne stworzenia.

Najzabawniejszymi — że ich tak nazwę — niezgrabiaczami cyrkowymi na arenie piśmiennictwa historycznego są ci panowie, którzy robią strasznie niezgrabne przeskoki z roku 1914 do tej chwili, gdy Polska mogła być i silną, i możliwie niezależną od nikogo. Te śmieszne łamane sztuki takich panów nie posiadają nigdy nawet zręczności istotnych pajaców cyrkowych, którzy, czy udając idjotę, czy też czyniąc niezgrabne poruszenia, muszą być istotnie inteligentni i posiadać niezwykle wyćwiczone ciało, aby publiczność wprowadzić w szczerą śmiech i nieraz zachwył. Tymczasem ci panowie starają się połączyć swoją absolutną niemoc i bez-

silność z czasami, gdy Polska, jeżeli nie była nadzwyczajnie silną i potężną, to w każdym razie mogła wykonywać swoje własne decyzje, czyniąc swoją własną historję.

Próba łączenia początków wojny w roku 1914 z rokiem 1918, a raczej jego końcem, jest zawsze tak idjotyczna, że człowiek to czyniący nie może nie być zaliczonym do głupich, bo nietylko zmienił się cały świat, a w nim i Polska, ale przede wszystkim zmienić się musieli i ludzie i musowo stać się czemś innym, niż to było w roku 1914. Przeskok człowieka, który był nicością zupełną, nierachowaną, niekalkulowaną przez nikogo, do znaczenia i siły nietylko dla siebie i dla Polski, ale i dla świata, jest tak wielki i tak zmieniający postać rzeczy, że każda próba łączenia w jakiś musowy i logiczny związek jest skończonym idjotyzmem. Jednak ludzie to ciągle czynią.

Niechybnym faktem historycznym jest również fakt, że moja osoba w tym okresie historycznym stała się centralną osobą dla tego okresu. Nie chcę ani szukać motywów historycznych dla tego faktu, ani też kogokolwiek pod tym względem poprawiać, lecz rzeczą jest niezaprzeczoną, że osoba Józefa Piłsudskiego stała się centralną dla całego okresu od roku 1914 do początków Polski. Fakt ten niechybnie wymusza na każdym historyku specjalną pracę, poświęconą mojej osobie. Ze smutkiem jednak

powiedzieć muszę, że wszystkie prace, które w stosunku do mojej osoby są czynione w tegoczesnej Polsce, dają osobę moją, to jest Józefa Piłsudskiego, najczęściej zupełnie mi nieznanego. Jakaś podobizna bez podobizny, jakaś często mała głupia, która niewiedomo dlaczego i poco stała się centralną figurą całego najważniejszego dla Polski okresu. Przyczem najczęściej fakty z mego życia są poprzekęcane w sposób głupi tak, że ja nawet swego życia nie poznaję.

Niechybnie życie moje było zupełnie niepodobne nietylko do życia mego pokolenia, ale i do życia kogokolwiekbaż w Polsce. Życie pełne bajek, które jednak były prawdziwemi, pełne niebezpieczeństw stałych dla życia, pełne dziwacznych awantur i dziwacznych przygód. Życie takie z trudem niechybnie poddaje się jakiegokolwiek kontroli i jakiegokolwiek ścisłości dla każdego oprócz mnie. Jest mi zupełnie obojętnem, czy nazwie mnie kto awanturnikiem, czy nazwie mnie szczęściarzem bez rozumu, jakąś wypadkową figurą w historii, czy też zechce mi przyznać talent i to duży, czy nazwie mnie najrozumniejszym człowiekiem w Polsce. Jest to bardzo obojętnem dlatego, że sąd nad taką centralną figurą należy do dalekiej potomności, a nie do tego pokolenia z którego taka centralna figura w historii wychodzi.

Tegoczesna jednak Polska lubuje się poprostu w przyczepianiu nieszczęsnego Piłsudskiego do każ-

dej osoby w Polsce. To zaśmiecenie historyczne mojej osoby — wybaczy każdy — wydaje mi się obrzydliwem. Dla przykładu opowiem parę faktów. Oto, naprzykład, jeden pan, mieszkający gdzieś w okolicach Dębłina, pisze do mnie list następujący — znajduje się w biedzie i w ciężkiem położeniu materialnem i dlatego przypuszcza, że wreszcie sobie przypomnę, że kiedyś przy swojej ucieczce od policji rosyjskiej do Galicji byłem u niego i pożyczyłem od niego narzutkę czy palto i że mu ten dług spłacę. Ja doskonale pamiętam wszystkie — jak je nazywałem — dziury w granicy rosyjsko-galicyskiej, przez które przejeżdżałem, przechodziłem, i żadna z dróg moich nigdy na Dęblin nie prowadziła. W Dęblinie zaś i okolicy Dębłina byłem raz tylko w życiu swoim, będąc Naczelnym Wodzem wojsk polskich i prowadząc swój znakomity kontratak od Wieprza w stronę Łomży i Białegostoku. Oto drugi fakt: jeden pan, mieszkający stale w mieście Łodzi, pisze do mnie list z natarczym żądaniem, żebym mu zwrócił 200 rubli, które od niego wzięłem dla wykupienia siebie z rąk policjantów, którzy mnie prowadzili do więzienia. Naturalnie, nigdy tak śmiesznego faktu w życiu mojem nie było, gdyż mnie w Łodzi przy aresztowaniu i wszelkich przesunięciach wożono zawsze w karecie z należytą osłoną, niekiedy dowodzoną przez oficera. I tacy panowie opowiadają na pewno i znajomym, i nieznanym o czarnej niewdzięcz-

ności pana Piłsudskiego, który nie chce pamiętać o swoich małych długach, zrobionych w chwilach ciężkich dla jego życia.

Jeżeli przytaczam te przykłady, to dlatego, że faktów podobnych musiałbym naliczyć tysiące z opowiadaniem mi w oczy rzeczy, których nigdy nie było w moim życiu.

Jeżeli napisałem, że najzabawniejszymi wydają się mi ci ludzie, co robią śmiałe, ale niezwykle niezgrabne przeskoki od początków wojny w 1914 roku do roku 1918, 1920 i nawet 1930 — to muszę przyznać, że gdy mnie do tych przeskoków przyczepiają, muszę sobie wyglądać tak samo śmiesznie i zabawnie, jak i oni. I zawsze się dziwię, poco to ludzie czynią. I zawsze odpowiadam, że może to czynić człowiek, nie szanujący absolutnie siebie. Jest to dla mnie tak niewątpliwy fakt i tak jasny, jak słońce, świecące na niebie.

Takie zaśmiecanie mego życia, mojej pracy, moich myśli, nieraz dawało powód dla mnie do marzeń, że mi się uda może zrzucić z siebie całe to niepotrzebne śmiecie. Nie mogłem jednak nigdy znaleźć metody i znaleźć możliwości w sobie, ażeby z tem zaśmieceniem mojej osoby walczyć i zmusić ludzi chociażby do milczenia. W tej niepewności, jak uczynić, jak znaleźć jakąkolwiek drogę, jak wymusić na sobie chociażby trochę pracy dla tego celu, trwałem bardzo długo. I jak zwykle w takich

wypadkach, gdy mnie coś dręczy długo, zaczynam nienawidzić siebie za brak decyzji i postanowienia, gdyż jestem nadzwyczajnie decyzywny i nadzwyczajnie stanowczy, i nie mogę nie wstydzić się przed sobą, gdy decyzji powziętej nie wykonuję. Dlatego też, gdy zdecydowałem, że po wielkiem zmęczeniu wyjadę z Polski na parę miesięcy z nadzieją urzędzenia sobie życia tak, abym nie był ciągle teatrem dla ludzi, zdecydowałem najzupełniej stanowczo, że uczynię pod tym względem jakąkolwiek próbę. Namyslałem się, coprawda, nie jeden wieczór, chodząc samotnie w pałacu namiestnikowskim, jaką metodę wybiorę, gdyż czułem, że będę gardzić sobą, jeżeli postanowienia nie wykonam. Zmusić siebie do czytania całej literatury, związanej ze mną, absolutnie nie mogłem. Dlatego też odrazu zrzekłem się myśli zrobienia czegoś większego, gdyż mojem ciąglem marzeniem przez długie czasy było napisanie monografji o sobie. Po długich namysłach zatrzymałem się na dwóch pamiętnikach, których, zaznaczam, nigdy nie czytałem, to jest pamiętnikach pana Daszyńskiego i pana Bilińskiego. Wiedziałem, że są wydane i zgóry przypuszczałem, że całe mnóstwo szczegółów, związanych ze mną, musi być fałszywe. Przynajmniej byłem tego najzupełniej pewny co do pamiętników pana Daszyńskiego. Kazałem więc do rzeczy swoich, które brałem na Madere, zapakować zarówno pamiętniki Daszyńskiego, jak i Bilińskiego.

Mieszkając długo w okolicach Funchallu, raz po raz obmyślałem, że muszę zacząć od przeczytania tych pamiętników. Spotkałem odrazu tak głębokie i tak silne przeszkody moralne, że zacząłem się obawiać, że swojej decyzji nie wykonam. Z niechęcią do siebie otworzyłem na chybił trafił pamiętniki pana Daszyńskiego i z przestachem natychmiast książkę rzuciłem. Powiedziałem wyraźnie sobie — co zresztą w *Poprawkach historycznych* jest napisane — że lepiej chyba będzie, gdy ja sam napiszę pamiętniki Daszyńskiego, gdyż wtedy będą prawdziwsze i bardziej zgodne z prawdą. Po namyśle więc zdecydowałem metodę następującą. Mianowicie — zatrzymam się jedynie na tych ustępach, które wyraźnie są związane z moim nazwiskiem, i każdy fałsz będę prostował. To wydawało mi się jeszcze możliwem.

Sądziłem przytem, że idąc tą metodą, będę także i najbardziej historycznym, gdy prostuję rzeczy, związane tylko ze sobą, nie tykając treści jakiegokolwiek, czy to związanej z innemi osobami, czy to związanej z osobą pana Daszyńskiego. Niechybnie, trzymając się tej metody — zdaniem mojem — ściśle historycznej, utrudniłem znacznie czytanie moich *Poprawek historycznych*. Lecz niech mi wybaczą wszyscy moi czytelnicy — ale nie byłem w stanie ani przeczytać tego, co napisał pan Daszyński i pan Biliński, ani też za nich pisać istotną historję pana Daszyńskiego i pana Bilińskiego.

Dlatego też nie mogę i nie będę miał pretensji do nikogo, kto książeczki mojej nie zechce przeczytać. Zrobiłem w każdym razie swoją próbę odśmieszenia historii mojej osoby.

UWAGI DO PAMIĘTNIKÓW
IGNACEGO DASZYŃSKIEGO

(„Pamiętniki“ — tom I i II,
Kraków, 1924, 1926, nakładem
Drukarni Ludowej).

I.

1) Po raz pierwszy w pamiętnikach pana Daszyńskiego nazwisko moje spotykam na stronie 162 pierwszego tomu. Wobec tego, że nazwisko moje nie jest związane z żadnym faktem, lecz z „nienawiścią do mnie podolskiego hrabiego i jego pomocnika profesora Strońskiego w Krakowie“, a ja nie jestem w stanie sprawdzić stopnia tej nienawiści, pomijam ten ustęp bez żadnego sprostowania.

2) W rozdziale, zatytułowanym *Wojna rosyjsko-japońska*, na stronie 214 spotykam znowu swoje nazwisko.

Pominę najzupełniej wszystko to, co jest charakterystyką moją, daną przez pana Daszyńskiego. Nie mogę bowiem odmówić komukolwiek prawa czynienia tej czy innej mojej charakterystyki, chociażby była nieścista lub wręcz fałszywa. Zaznaczam jednak, że w roku 1901 wcale nie osiedliłem się w Krakowie, jak to pisze pan Daszyński, był to bowiem okres czasu, kiedy baza P. P. S. nie została jeszcze przeniesiona do Galicji, jak tego wymagałem ciągle od swoich przyjaciół w Londynie,

i dlatego w 1901 roku po krótkim pobycie we Lwowie i Zakopanem wyjechałem do Londynu.

3) Pomijając więc całą stronę 215, związaną z charakterystyką mojej osoby i związaną właściwie z rozdziałem, zatytułowanym *Revolucja w Królestwie*, zatrzymam się jedynie na końcowej alinei stronicy, gdzie jest omówiony mój wyjazd do Japonji.

Przedewszystkiem data wyjazdu jest postawiona fałszywie. Działo się to bowiem nie „w zimie 1905 roku“, lecz w lecie 1904 roku.

Następnie cel wyjazdu jest tak śmieszny u pana Daszyńskiego, że wybuchnąłem wesołym śmiechem, gdy to przeczytałem. Mianowicie — pan Daszyński każe mi jechać do Japonji, „aby ustalić, jakie prace przeciwko caratowi mogą wykonać zesłańcy polityczni na Syberji“.

Faktem istotnym jest, że gdzieś w maju 1904 roku zostałem zaproszony przez rząd japoński, abym przyjechał do Japonji dla rozmowy, bliżej nieokreślonej w zaproszeniu. Mogłem być się zgodzić na wyjazd innych osób, lecz zdecydowałem jechać osobiście. Uczyniłem to dlatego, iż nie mogłem nie przypuszczać, że najprawdopodobniejszą treścią tej rozmowy będzie udzielanie informacji o charakterze wojskowym państwu japońskiemu, i w tak drastycznej sprawie nie chciałem nikomu dać peł-

nomocnictwa. Państwo japońskie zwracało mi wszystkie koszta podróży. Gdym jechał, przepływając oba oceany i przejeżdżając kontynent amerykański wpoprzek, miałem dość czasu, — gdyż podróż moja trwała więcej, niż miesiąc, aby się namyślić nad sposobem mego zachowania się w Japonji.

Zdecydowałem odrazu, że zgodzić się mogę na zorganizowanie pracy informacyjnej tylko w tym wypadku, jeśli Japonja zgodzi się na udzielenie mi pomocy technicznej w broni i nabojach, gdyż nie przypuszczałem, aby wypadek tak wielki, jak wojna, toczona przez Rosję, mógł przejść bez śladu dla państwa rosyjskiego i nie doprowadzał nas, Polaków, do sytuacji, gdzie zapomocą siły dałaby się osiągnąć znaczna poprawa w losach Polski.

Zgodnie z listem rekomendacyjnym, danym mi przez posła japońskiego w Anglji, musiałem złożyć wizytę w ministerjum spraw zagranicznych w Tokjo, by potem przejść do rozmowy specjalnej z zastępcą szefa sztabu japońskiego. Rozmowa moja, gdzie odrazu wysunąłem na pierwszy plan techniczną pomoc Japonji, rezultatów praktycznych nie dała, tak, że jedynym rezultatem, który osiągnąłem, było wydzielenie w osobną grupę jeńców wojennych Polaków, wśród których musiała być spora ilość poddających się chętnie i z ochotą, wraz z możliwością z naszej strony oddania do dyspozy-

cji sztabu jednego z naszych ludzi, jako pośrednika pomiędzy sztabem a pomiędzy jeńcami-Polakami.

Wobec tego śmieszne twierdzenie pana Daszyńskiego o celu mojej podróży do Japonji jest zupełnie fałszywe i polega na jakiejś dziwacznej hipotezie, podanej zresztą jako twierdzenie, gdy ja ani razu panu Daszyńskiemu nie mówiłem o mojej pracy, związanej z Japonją, i nigdy go nie chciałem w te sprawy wtajemniczać.

4) Na stronie 224 tegoż tomu pan Daszyński w rozdziale, zatytułowanym *Revolucja w Królestwie*, charakteryzując tę rewolucję, jeszcze raz mówi o mnie. Przytaczam ten kawałek literalnie: „Naprawdę Piłsudski zabijał strach przed Moskwą w szeregach robotniczych, napróżno starał się stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie „organizacji bojowej“, napróżno zorganizował „krwawą środę“ w roku 1906 i szeregi terrorystycznych zamachów na najokrutniejszych gnębieli rosyjskich, — rewolucja nie stała się ruchem zbrojnym masy polskiej przeciw rządowi rosyjskiemu“.

Wszystkie trzy twierdzenia, zrobione przez pana Daszyńskiego o mnie, są fałszywemi. Po pierwsze więc nigdy nie sądziłem, by można było „stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie organizacji bojowej“.

Po drugie — nie organizowałem „krwawej środy“ w 1906 roku i byłem tej imprezie przeciwny. Po trzecie—byłem przeciwnikiem terroru personalnego i nigdy żadnego zamachu nie organizowałem. Wreszcie twierdziłem i twierdzę, że jeśli nie jedynym, bo to byłoby niesłusznem, to jednak jednym z powodów, dlaczego rewolucja nie stała się „ruchem zbrojnym“, były trzy powyższe twierdzenia, przypisywane przez pana Daszyńskiego właśnie mnie.

5) Na stronie 233 znajduje się ostatnia wzmianka o mnie w pierwszym tomie pamiętników pana Daszyńskiego. Wzmianka ta ma postać następującą: „Myśl walki zbrojnej z caratem nie umarła. Przechował ją i w życie wcielił Piłsudski, tworząc najpierw „Związek Walki Czynnej“, a potem „Związek Strzelecki“, na którym usiłowały się wzorować wszystkie organizacje zbrojne, które powstawały przed wojną światową w Galicji“.

Przedewszystkiem nie ja stworzyłem „Związek Walki Czynnej“, gdyż został on stworzony przez generała Sosnkowskiego, w czasie, gdy ja kilka długich miesięcy spędziłem nie w Galicji, a w zaborze rosyjskim; przyczem zarówno forma, nadana organizacji, jak i program kształcenia, zawierał, zdaniem mojem, dużo błędów, tak, że miałem potem wiele kłopotu i musiałem dużo wysiłku uczynić, aby te błędy usunąć. Następnie „Związek

Strzelecki“ była to organizacja najzupełniej legalna, oparta na ustawach ogólno-austriackich, które zezwalały na naukę strzelania z wojskowych karabinów, z możliwością otrzymania tych karabinów od wojska; jednym słowem, organizacja, podobna do tej, jaką mamy obecnie w Polsce w postaci Przynależności Wojskowej. Istotnie popchnąłem wszystkich swoich zwolenników na tę ułatwioną, bo legalną formę pracy wojskowej, po naradzie z oficerami sztabu generalnego austriackiego, z którymi w owym czasie byłem w kontakcie.

II.

6) Na stronie 35 drugiego tomu jest wspomniane moje nazwisko w związku z napadem na pociąg na stacji Bezdany. Pan Daszyński pisze o sobie: „część wywłaszczonych pieniędzy rosyjskich próbowałem zmienić w Europie zachodniej przez przeróżne pośredniczące osoby“. Wobec tego, że wszystkie te pieniądze przechodziły przez moje ręce, ja zaś do pana Daszyńskiego nie zwracałem się ani razu w poruszonej przez niego sprawie, wątpię mocno, aby to twierdzenie pana Daszyńskiego było prawdą.

7) Na stronach od 41 do 45 włącznie opisywana jest „potężna rola historyczna Józefa Piłsudskiego,

który dał obozowi niepodległościowemu odpowiedź na pytanie, co Polacy mają robić w ewentualnej wojnie Austrii z Rosją“. Z wielką trudnością poznaję siebie w tych opisach i dlatego nie podejmę się nigdy sprostowania nieściśłych i zatem bardzo jednostronnych sądów pana Daszyńskiego o mojej „potężnej roli historycznej“. Ograniczę się jedynie do kilku sprostowań.

Po pierwsze więc pan Daszyński raz jeszcze na stronie 42 mówi o „Związku Walki Czynnej“ i przytacza kilka wyjątków z jego regulaminu. Stwierdzam więc, że te wyjątki nie były przeze mnie pisane i właśnie w tych wyjątkach są te ustępy, które, jak mówiłem wyżej, sprawiały mi przez długi czas dużo kłopotu i zmuszały do ich usunięcia zapomocą wielkich i długotrwałych wysiłków.

Następnie zaznaczyć muszę, że do bojówki P. P. S. nie należałem aż do 1914 roku — jak to mylnie twierdzi pan Daszyński — lecz usunąłem się z jej szeregów znacznie wcześniej.

Nareszcie na stronie 45 pan Daszyński pisze o Związku Walki Czynnej, że „w razie konfliktu posłowie socjalistyczni mieli obowiązek bronięcia Związku Walki Czynnej i jego bezpieczeństwa“. Zaznaczę, że ja osobiście, jako główny dowódca Związku Walki Czynnej, ani razu nie zwracałem się ani do pana Daszyńskiego, ani do któregośkol-

wiek z posłów socjalistycznych z propozycją, czy też prośbą o taką obronę, i nie przypominam sobie ani razu takiego wypadku, aby taka obrona była przez posłów socjalistycznych wnoszona. Osobiście aż do 1914 roku opierałem całe zabezpieczenie mojej pracy wojskowej w Galicji na kontakcie, jaki miałem w owe czasy z kilku oficerami austriackiego sztabu generalnego. Uważałbym zaś wszelką domieszkę do tego zabezpieczenia krzykliwych i zwykle przesadnych wystąpień posłów socjalistycznych, mających charakter wybitnie antymilitarny, nie za zwiększenie, lecz za wybitne zmniejszenie tegoż zabezpieczenia.

8) Na stronie 95 pan Daszyński pisze o tem, że „Piłsudski wszedł w owym czasie w styczność z sztabem generalnym Austro-Węgier i miewał konferencje z wojskowymi austriackimi we Lwowie i Przemyślu. Uznał za potrzebne wtajemniczać mnie stale w treść tych rozmów“. O ile pierwsza część jest prawdą, chociaż nie ścisłą, o tyle ostatni frazes jest zupełnie fałszywy, gdyż ani razu z panem Daszyńskim w tej kwestji nie rozmawiałem, nie uważając dla siebie za możliwe wtajemniczać jego w te sprawy. Przedewszystkiem związany byłem obustronną wymianą słowa honoru, że się na zewnątrz nikomu o tych rozmowach nie mówi, a niezwyklem łamać kiedykolwiek słowa honoru. Obok tego pan Daszyński byłby w moich oczach ostatnim, z którymbym o tem mógł mówić, gdyż

znając egotyczny charakter pana Daszyńskiego, nie wierzyłem nigdy, aby tajemnica innego człowieka dla niego kiedykolwiek coś znaczyła.

9) Doprawdy niebardzo rozumiem, dlaczego pan Daszyński tak „stale i wiernie“ doczepia moje nazwisko czy do swoich przemówień, czy do swojej pracy w Galicji. Tym razem na stronie 97 doczepione jest również nazwisko pana Moraczewskiego, gdyż obaj ci panowie „stale i wiernie popierali każde zamierzenie Piłsudskiego i (horribile dictu) jego strzelców“, czem „tłumili głosy krytyki pacyfistycznej w naszych szeregach“. Nie chcę temu zaprzeczać, lecz odniosę cały ten ustęp, związany z moim nazwiskiem, do zwykłych w pamiętnikach pana Daszyńskiego nadużyć stylowych.

10) Na stronie 102 nazwisko moje wspomniane jest w związku z wystąpieniem pana Daszyńskiego z krytyką reformy wojskowej w Austrii i z jego żądaniami „w duchu demokracji i najnowszych doświadczeń na polach Mandżurji“. Przyczem „wszystkie dane z tej wojny“ otrzymał pan Daszyński ode mnie. Gdy czytam następną prawie całą stronę 103, zajmującą ową krytykę i owe żądania, stanowczo stwierdzam, że z tą krytyką i żądaniami nic a nic nie mam wspólnego i że śmieszne nieraz i dowodzące absolutnej nieznamomości organizacji wojska twierdzenia pana Daszyńskiego nie są moje, lecz własne pana Daszyńskiego. Faktem

zaś jest, że nieraz nietylko panu Daszyńskiemu, lecz dziesiątkom innych panów często opowiadałem różne anegdoty wojenne z wojny mandzurskiej, którą istotnie studjowałem zawzięcie i stale. Dodam, że o zamiarze pana Daszyńskiego wystąpienia z krytyką i żądaniemi w sprawie reformy wojskowej w Austrii nic nie wiedziałem, a zatem z formą, w jaką to on ubierał w parlamencie austriackim, nic a nic wspólnego nie miałem.

Przypominam sobie w podobnej sprawie jeszcze jeden fakt, związany z pewną rozmową, zacętą przez pana Daszyńskiego. Nie mogę odnieść jej do jakiegoś określonego czasu, lecz w każdym razie w rozmowie tej ani razu nie było mowy o wystąpieniu pana Daszyńskiego w sprawie reformy wojskowej. Mianowicie — pewnego razu zwrócił się do mnie pan Daszyński z prośbą, bym zechciał dopomóc panu Liebermanowi w jego pracy w komisji wojskowej w parlamencie austriackim. Gdym wyraził swe zdziwienie, że właśnie pan Lieberman został wysłany do komisji wojskowej, tłumaczył mi pan Daszyński ten fakt tem, że pan Lieberman był posłem z Przemyśla, jednej z największych fortec austriackich, i że w ten sposób może potrafi uzyskać lepsze warunki dla swojej pracy w Przemyślu, niż to było dotychczas. Wymawiałem się bardzo usilnie od tego rodzaju propozycji, twierdząc, że bez jakichkolwiek materiałów i bez oznaczenia celu nie mógłbym w niczem pomóc panu Lieber-

manowi. Gdy jednak pan Daszyński nastawał coraz usilniej, rozpoczynając rozmowę po kilka razy, zdecydowałem na odczepnego dać krótką zapiskę o znaczeniu dobrego wykształcenia rezerwowych oficerów i wogóle rezerwistów, gdyż z nich właściwie składać się musi nowoczesna armja, gdy jest zmobilizowana. Tak też i uczyniłem, starając się najusilniej, aby ani jedno słowo nie było pisane mojem pismem, tak, abym mógł zawsze się wyprzeć wszelkiego udziału w pracy pana Liebermana w komisji wojskowej wiedeńskiego parlamentu.

11) Na stronie 114 pan Daszyński wspomina moje nazwisko w związku z całym szeregiem różnych organizacyj o charakterze wojskowym, które rozwinęły się w bardzo silnym stopniu w Galicji pod wpływem wojny bałkańskiej. Cała charakterystyka poszczególnych organizacyj nie należy do mnie, lecz do pana Daszyńskiego.

12) Od strony 116 idzie cały szereg ustępów, gdzie nazwisko moje wspomniane jest prawie na każdej stronie w związku z utworzeniem i pracą znanej w historii ostatnich lat przed wojną światową „Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych“. Historia tej organizacji przedstawiona jest przez pana Daszyńskiego dosyć fałszywie. Istotnie rzecz się miała, jak następuje: w drugiej połowie 1912 roku Austrija, widząc nadzwyczaj usilne przygotowania do wojny, czynione przez Rosję, zdecydowała przer-

wać te przygotowania zapomocą odpowiedniego, prawie wojennego nacisku na Rosję. Tak przynajmniej twierdzili mi panowie z generalnego sztabu, z którymi miałem kontakt, którzy, uprzedzając wypadki, zaczęli omawiać ze mną zupełnie już praktycznie sprawę mego wystąpienia wspólnie z armją austriacką. Dodam odrazu, że warunki, do których w owe czasy się dogadałem, były co najmniej dziesięć razy lepsze, niż te, z którymi miałem do czynienia w lipcu 1914 roku. Zmuszony więc byłem do praktycznego podliczenia swoich własnych sił i wszystkich moich możliwości. Wobec tego, że w stawianych mi warunkach sprawy polityczne nie odgrywały żadnej roli, były zatem pozostawione mnie samemu, uznałem odrazu, że występować jedynie w swoim imieniu nie będę w stanie, a więc muszę się starać o to, aby wytworzyć lub zorganizować chociażby pozorną bazę polityczną, na którą mógłbym niejako zrzucić odpowiedzialność za moje kroki, tak, aby ta odpowiedzialność nie spoczywała jedynie na moich barkach. Unikałem zaś przedewszystkiem wyłączności socjalistycznej, jako rzeczy, która raczej szkodzić, niż pomócby mi mogła. Wobec tego, że samo zorganizowanie jakiegokolwiek centrum poprzedzić musiały bardzo liczne i bardzo przykre nieraz rozmowy, brałem do pomocy dla tych spraw zwykle pana Walerego Sławka i pana Michała Sokolnickiego, odkładając rozmowę o tej sprawie

z panem Witoldem Jodko, ówczesnym głównym przedstawicielem P. P. S., na sam ostatek, gdyż obawiałem się ogromnie jego namiętnej chęci dominowania nad wszystkimi innymi z chęcią upieczenia chociażby małej pieczeni partyjnej. Co się tyczy partji P. P. S. D. z panem Daszyńskim na czele, nie wchodziła ona całkiem w pierwszych moich krokach w rachubę, głównie ze względu na osobę pana Daszyńskiego, którego niesmaczny, stale mentorski i głupio guwernerski ton mógł mi w pierwszych krokach zepsuć wszystko, com rozpoczynał. Ustąpiłem pod tym względem bardzo usilnym namowom pana Witolda Jodki i jeszcze usilniejszym i nieraz zabawnym prośbom pana Hipolita Śliwińskiego. Było mi wtedy bardzo obojętnem, kto i w jakim celu wszedłby do takiej rozszerzonej odpowiedzialności — wiedziałem bowiem dobrze, że cała praca z chwilą wybuchu wojny spadłaby tylko na mnie i że nie dałbym nigdy nikomu prawa skrepowania mnie czemkolwiek.

Zaostrzenia o charakterze wojennym przeciągały się aż do początku 1913 roku. Były gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia momenty tak ostre, że ze sztabu pierwszego korpusu austriackiego w Krakowie zawiadomiono mnie, abym przez najbliższe dni nie wychodził z domu, gdyż każdej chwili można oczekiwać rozkazu rozpoczęcia przygotowań do mobilizacji i wtedy, zgodnie z umową, miałbym prawo rozpocząć zwiezienie wszystkich

gniazd strzeleckich do umówionego miejsca w Wadowicach. Zaostrzenie to minęło, jak mnie opowiadali oficerowie austriacy, w sposób niezwykle zabawny. Mianowicie — główną przeszkodą w postawieniu ultimatum Rosji był stary cesarz Franciszek Józef. Dla podniecenia starego monarchy zdecydowano, że wszyscy dowódcy korpusów austriackich po kolei mieli się zameldować u cesarza, zgłaszając, że korpus taki i taki gotów jest na wszystkie ewentualności. Jakoby cesarz wysłuchiwał spokojnie tych raportów i na ostatku, jako swój wywód, powiedział, że on to już raz w życiu słyszał od znanego generała Benedeka, który przegrał wojnę z Prusami 1866 roku w znanej bitwie pod Sadową. Cesarz wtedy postanowił raz jeszcze przemówić jako dynasta do dynasty i wysłał do cesarza Mikołaja II w specjalnej misji księcia Lichtensteina. O ile ta historia jest prawdziwa w szczegółach — nie wiem, lecz opowiadali mi ją ze szczegółami moi znajomi oficerowie sztabu austriackiego.

Pamiętam dobrze, że czekając w owe ostre dni na zawiadomienie o możliwości rozpoczęcia mobilizacji z mojej strony, liczyłem ciągle całą kasę, którą miałem w kieszeni. Zawierała ona równo 340 koron, co konstatowałem z niezwykle smutnym i gorzkim uśmiechem. Dlatego też rozpocząłem zaraz starania o to, aby przynajmniej na przyszłość nie być w podobnie bezradnej sytuacji. Dało to początek instytucji, zwanej „Polski Skarb

Wojskowy“, przy której najczynniejszymi byli znowu pan Walery Sławek i pan Michał Sokolnicki.

Gdy więc historia istotna wygląda w ten sposób, jak to przedstawiłem, to w pamiętnikach pana Daszyńskiego ta historia unika najstaranniej pracy w owe czasy decydującej, to znaczy stosunków austriacko-rosyjskich, zatrzymując się jedynie na przypadkowych rzeczach, związanych z osobą pana Daszyńskiego. A wtedy moja osoba i moje nazwisko, wtykane przez pana Daszyńskiego to tu, to ówdzie bez żadnego systemu, wyglądać musi niezwykle zabawnie i całkiem nieodpowiednio do istotnego stanu rzeczy i do istotnej mojej pracy.

13) Od strony 126 nazwisko moje spotyka się coraz rzadziej i wspomniane jest właściwie w jednym tylko wypadku, gdzie „z wojskiem nie było wszystko w porządku“. W tej części ostatniej rozdziału XXIII pan Daszyński przechodzi do roku 1913, kiedy — jak pisze — bezpośrednia groza wojny minęła, a zarazem do roku ostatniego, gdy pokój panował jeszcze na świecie. Pomimo, że te dwa lata, 1912 i 1913, tak zasadniczo były inne w historii naszej, u pana Daszyńskiego te dwa lata są pomieszane pomiędzy sobą w jakąś dziwną kaszę, w której rzeczy, związane z rokiem 1913, kiedy groza wojny minęła, są wplecione do tego czasu, kiedy groza wojny dochodziła do najwyż-

szego napięcia. Z tego też powodu nadzwyczajnie trudnem jest dla każdego szukającego prawdy orjentować się w tak dziwacznej historji, z niezwykłą plątaniną czasu, wypadków i ludzi, podlewanej wszędzie niesmacznym sosem partyjnicstwa i egotycznego ujmowania najdrobniejszej nawet rzeczy.

Istotnie zaś rok 1913 dał w rezultacie niezwykły rozwój organizacyj o charakterze wojskowym, tak, że liczba tych organizacyj nie pozwalała już na sąd, że było ich tylko dwie, mianowicie—„Związki Strzeleckie“ i „Drużyny Strzeleckie“ i jeżeli nowy pogląd taki był z gruntu fałszywy, gdyż tylko te dwie organizacje prowadziły systematyczne szkolenie swoich członków w zawodzie wojskowym, to jednak krzykactwa partyjne wszelkiego gatunku, ze zdziczałemi formami prasy i przemówień galicyjskich, czyniły zawsze z zera miljony, a z setek i tysięcy zero. Nie przeszkodziło to jednak, że w roku 1914, czyli przy istotnym wybuchu wojny, kalkulacja, zrobiona przez sztab austriacki, poszła daleko w kierunku ujmowania sprawy na sposób galicyjskiego krzykactwa, tak, że warunki, mnie podyktowane, były dziesięć razy gorsze, niż te, które miałem w 1912 roku.

Z przedstawienia rzeczy przez pana Daszyńskiego, który magna pars fuit tegoż galicyjskiego krzykactwa, nie można nic innego wyciągnąć, jak tylko tę istotną rzeczywiście prawdę, że pan Da-

szyński stał bardzo i bardzo daleko od tych prac, które były przeze mnie prowadzone i które tak silnie zaważyły na szali dziejów naszego narodu. Dlatego też, nie prostując słów pana Daszyńskiego o mnie, zakończę swoją pracę w stosunku do rozdziału XXIII.

14) Gdy wezmę rozdział XXV, nazwisko moje oraz moje czynności spotykają się raz po raz i nie w tem dziwnego, gdyż mowa tam o mobilizacji strzelców i o dniu 6 sierpnia 1914 roku.

Rozdział ten, wbrew dotychczasowej metodzie, przeczytałem od deski do deski, stronica za stronicą; tyle tam jest błędów historycznych, tyle nieścisłości w datach i tyle fałszywych oświeleń mojej pracy, że właściwie musiałbym napisać cały inny rozdział, aby ułożyć należyte sprostowanie błędów pana Daszyńskiego co do mojej pracy i mojej osoby. Naturalnie, pan Daszyński, nie będąc wtajemniczany przeze mnie nigdy w stosunki moje ze sztabem austriackim, który był w tej chwili dominującym czynnikiem w całej Austrii, a więc i w Galicji, nie mógł zdać sobie najmniejszej sprawy ani z mojej sytuacji, ani też z moich czynności i zapewne stąd pochodzą dziecinne sądy pana Daszyńskiego i dziecinnie śmieszne jego wyobrażenia o wypadkach, których był świadkiem. Co do mnie, przypominam dokładnie moje wrażenie, jakie miałem z powodu pana Daszyńskiego w tych chwilach, które uważam dla siebie za najcięższe.

Pan Daszyński, zaskoczony ogromem wypadków, zmalował tak widocznie i tak nie wiedział, co czynić, że stracił zwykły swój tupet, nieznośną chęć swoją do wywyższania siebie, do mentorowania i zatracił wyraźnie swój niesmaczny ton.

W pamiętnikach swoich jednak pan Daszyński olbrzymio staje się podobnym do siebie. Dlatego też, nie chcąc pisać innego rozdziału o mobilizacji strzelców i dniu 6 sierpnia 1914 roku, zatrzymam się jedynie na sprostowaniu paru faktów, fałszywie przez pana Daszyńskiego przedstawionych.

Na stronie 158 pan Daszyński pisze: „Ponieważ Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych powzięła uchwałę, żeby wojsko strzeleckie wkroczyło w granice caratu po wypowiedzeniu wojny przez Austryję, a głównie dlatego, że było bardzo mało czasu dla przygotowania wymarszu strzelców, ociągnął się ten wymarsz aż do 6 sierpnia“. No, kto może takie śmieszne rzeczy pisać, jak nie pan Daszyński! Stwierdzam więc, że przez cały czas moich przygotowań do wymarszu, ani jednej chwili nie myślałem o jakiegokolwiek uchwale tej Komisji; składała się ona bowiem z ludzi, tak samo zatraconych i tak samo nie wiedzących, co czynić, jak pan Daszyński. Natomiast istotnym powodem daty 6 sierpnia był fakt, że do 6 sierpnia nie miałem pozwolenia sztabu austriackiego do przekroczenia granic państwa rosyjskie-

go. Dozwolono jedynie na przekroczenie granicy małym tylko grupkom, nie przekraczającym dziesięciu ludzi. Wykorzystałem zaś ten fakt, wysyłając już 2 sierpnia siedmiu ludzi konnych, mianowicie — pierwszy patrol Beliny.

Następnie sprostować muszę daty pana Daszyńskiego o konferencji, która się odbyła u pana doktora Lea, prezydenta Krakowa i prezesa Koła Polskiego w Wiedniu. Wbrew temu, co pan Daszyński pisze, inicjatorem tej konferencji był nie pan Daszyński, ale ja.

Przedewszystkiem parę słów co do daty tej konferencji. Ściśle tej daty nie pamiętam, lecz zestawiając wszystkie zdarzenia w owym czasie, byłbym pewniejszym siebie, gdybym cofnął datę 4 sierpnia, podaną przez pana Daszyńskiego, o parę dni wstecz. Następnie z pewnością stwierdzić mogę, że o „przedłożeniu projektu wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych“, ja nie tylko nie wiedziałem, ale i nie mógłbym być na takiej konferencji, z takim celem zwoływanej, gdy — jak pisze pan Daszyński — 3 sierpnia usunąłem się z tej Komisji. Istotna historia tej konferencji jest następująca.

Rozmowa moja z przedstawicielem austriackiego sztabu generalnego, gdzie warunki wystąpienia mojego zostały znacznie pogorszone, zmusiła mnie do wzięcia paru dni namysłu na odpowiedź. Wra-

żenie moje z tej rozmowy, które odniosłem, polegało na tem, że rok 1913 nie darmo minął nietylko dla Galicji, ale i dla sztabu austriackiego.

Rozwój organizacyj wojskowych w Galicji i krzykactwo wszelkiego rodzaju partyjników galicyjskich uczyniło najwidoczniej kalkulację sztabu inną, niż była ona w 1912 roku. Zaczęto widocznie liczyć się bardziej z galicyjskim sposobem widzenia, niż z możliwościami, które spotkać można było w zaborze rosyjskim. Dlatego też, dla poprawy tych ciężkich dla mnie warunków, myślałem poszukiwać chociażby pozornej i chociażby chwilowej pomocy i oparcia w galicyjskich tak zwanych mężach stanu. Najlepszym mi się wydawał do tego pan Leo, jako demokrat, nie zarażony chęcią supremacji i panowania nad wszystkim. A że go nie znałem, zwróciłem się do pana Daszyńskiego z prośbą, by mi ułatwił porozumienie się z panem Leo. Nie dało mi to nic pozytywnego, gdyż minęło kilka dni, nim zostałem do pana Leo zaproszony, a termin, prawie ultymatywny, dany mi przez sztab austriacki, mijał, tak, że musiałem się zgodzić na ciężkie warunki, a na ową konferencję poszedłem już po umowie ze sztabem austriackim.

Gdy do gabinetu pana Leo zostałem z panem Daszyńskim wprowadzony, znalazłem tam czterech panów, z których pamiętam trzech. Jeden był pan Leo, drugim był pan Jaworski, trzecim pan Dwernicki; co do czwartego, nie jestem zupełnie

pewien. Zdumiony tem zebraniem osób, których nie znałem, zdecydowałem odrazu mieć się na baczności i z żadną inicjatywą nie występować.

Pierwszy zagaił zebranie pan Leo, twierdząc, że on, jako prezes Koła Polskiego, chciałby przed zebraniem Koła Polskiego, które musi nastąpić, ułatwić wszystkie możliwe porozumienia się pomiędzy ludźmi; i, czyniąc gest ręką w kierunku pana Daszyńskiego, stwierdził tem, że oczekuje od pana Daszyńskiego, który nie wchodził do Koła Polskiego, jakiegoś dania przykładu. Następnie mówił pan Daszyński. Przemówienie jego pamiętam doskonale i stwierdzam raz jeszcze, że ani jednym półsłowem nie zaczął Komisji Niepodległościowej, ani nikomu nie proponował wzięcia udziału w jej pracach, ani też nie stawiał żadnego wniosku o jakikolwiek rządzie, „który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej“. Zaczął pan Daszyński od stwierdzenia grozy sytuacji Polaków, którzy zmuszeni będą do strzelania do siebie i do niszczenia siebie wzajemnie, gdy wojna austro-rosyjska wybuchnie, — wojna bowiem pomiędzy temi obu państwami nie była jeszcze ogłoszona.

Opisując wszystkie okropności tej sytuacji Polski, zaczął także twierdzić, że wobec zamknięcia zakładów przemysłowych w zaborze rosyjskim, mogą nastąpić tam akcje rabunków i akty gwałtów, gdy przy ucisku rosyjskim ludność tameczna

nie jest dostatecznie zorganizowana; nawoływał zaś do konieczności pomyślenia o tej sytuacji i o wymyślenie jakichś środków zapobiegawczych. Pamiętam dokładnie moje niesmaczne wrażenie z jego przemówienia, sam zaś nie mówiłem dotąd nic, oczekując wciąż, jak mi się zarekomendują inni panowie, którzy tam byli zebrani.

Zaczął znowu pan Leo, który, z miną nieco zawiedzioną i niechętną, twierdził, że na tak szerokie wymagania odpowiedzieć sam nie może i że może odpowiedzieć po zebraniu Koła Polskiego, które niechybnie jakąś decyzję poweźmie i po porozumieniu się z rządem austriackim będzie w stanie rozpocząć jakąś pracę. Mówił jeszcze pan Dwernicki, uznając także konieczność zwołania Koła Polskiego.

Czułem, że wszyscy patrzą na mnie, jako na osobę, na owe czasy nadzwyczaj ciekawą, oczekując ode mnie prawdopodobnie rewelacji, związanej z umową moją ze sztabem austriackim.

Nie mogłem również nie widzieć i nie odczuwać, że ci panowie nie zdają sobie najzupełniej sprawy z żelaznych praw wojny, z całej potęgi jej techniki i wyobrażają sobie, że Koło Polskie mieć będzie cały czas te same przywileje, jakie miało podczas pokoju i że spokojnie będą mogli się zjeżdżać, wysyłać depesze, rozmawiać telefonicznie i obradować całymi miesiącami.

Moje przemówienie jest streszczone u pana Daszyńskiego względnie przyzwoicie. Konferencja ta zakończyła się twierdzeniem pana Leo, że życzyłby sobie, żeby ją można było powtórzyć.

Jasnym więc jest, że konferencja u doktora Lea z moim udziałem nie miała na celu, jak pisze pan Daszyński, przedłożenia mu projektu „wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych i wstąpienia ich ewentualnie do mającego się utworzyć rządu, który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej“. Wobec tego, że pan Daszyński wylicza cały szereg osób, które były na opisywanej przez niego konferencji, być może, że splątał on kilka konferencyj razem ze sobą, w każdym jednak razie ja na konferencji żadnej nie byłem, na którejby pan Daszyński przedkładał panu Leo projekt, poprzednio wzięty w cudzysłów.

Wreszcie słów parę o mojem oświadczeniu dla Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Pan Daszyński mówi o tem na stronie 158, o konferencji zaś z panem Leo na stronie 160, chronologicznie zaś było to akurat odwrotnie — konferencja z panem Leo była przedtem, następnie zaś w dobre kilka dni rozmawiałem z Komisją Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Główną przyczyną, dlaczego tę rozmowę odkładałem, było nie co innego, jak fakt, że Drużyny Strzeleckie bardzo długo się wahały, czy mają

ić ze mną razem, czy też zajmą wyczekujące stanowisko. Nie mogłem więc zwoływać całej Komisji, gdy nie byłem pewien, jak zebranie się ułoży.

Drugim zaś powodem był fakt, że wszystkie umowy, które sztab austriacki chciał zawierać, były wyraźnie umowami z moją jedynie osobą, z niemożliwością dopuszczenia do tego kogokolwiek innego. Zajęty więc byłem parę dni obmyślaniem politycznej barwy, z którą mogę wystąpić. Zatrzymałem się wreszcie na jedynym możliwym projekcie spróbowania przynajmniej na czas pewien postawienia siebie w zależność od nieistniejącego wcale tajnego Rządu Narodowego w Warszawie. Gdy przebiegałem listę osób, których mógłbym do tego celu użyć, zrzekałem się odrazu myśli i próby urzeczywistnienia tego projektu, gdyż miałbym zawsze do czynienia z ludźmi, tak dalece wahającymi się i tracącymi głowę w każdej okoliczności, że właściwie musiałbym robić wszystko za nich, kierując nimi prawdopodobnie w najdrobniejszej nawet rzeczy.

Dlatego też wolałem tajną i daleką od Krakowa fikcję, niż cokolwiek innego. Od tego też czasu datuje się moja długoletnia samotność, która mi się tak dała we znaki w mojem życiu.

Na zakończenie omawiania rozdziału XXV, słów kilka o dniu 13 sierpnia, gdzie pan Daszyński stwierdza, że mu wtedy powiedziałem o wymaganiach, by strzelcy włożyli czarno-żółte opaski

i dodałem znane mi dobrze określenie, że „nie zostaje mi nic innego, jak sobie w łeb strzelić“.

Stwierdzam więc, że dnia tego nie mogłem mówić o tych wymaganiach, gdyż tych wymagań wtedy mi nie stawiano, natomiast moje słowa, słusznie przez pana Daszyńskiego przytoczone, tyczą się czego innego, a nie tego śmiesznego wymagania.

15) W stosunku do rozdziału XXVI nie mogę nie zastosować tej samej metody, co do poprzedniego rozdziału. Pan Daszyński bowiem raz po raz dopełnia tyle nadużyć stylowych, złączonych z mojem nazwiskiem, a tyczy się ten rozdział tak ważnej części mojej pracy, że musiałbym pisać inny cały rozdział, zamiast tego, który napisany jest przez pana Daszyńskiego. Unikając więc tego, zatrzymać się mogę jedynie na kilku ważniejszych częściach, które chcę sprostować.

Przedewszystkiem zaznaczę, że cały okres czasu, który jest wzięty jako treść tego rozdziału, spędziłem nie w Krakowie, lecz na froncie, w okolicy Kielc i w Kielcach samych. Dlatego też zarówno przemiana Koła Polskiego w Wiedniu na Naczelny Komitet Narodowy (N. K. N.), jak i jego pierwsze czynności nie odbywały się przy mnie, ani też z jakimkolwiek moim udziałem. Dlatego też, prawdopodobnie przy udziale pana Daszyńskiego, została jakoby powzięta uchwała połączonych Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległości-

wych z Centralnym Komitetem Narodowym we Lwowie. Uchwała ta, przytoczona na stronicach 169—170, nie była mi nigdy ogłaszana, ani też o istnieniu jej nie wiedziałem, dopóki nie przeczytałem jej na stronicach pamiętnika pana Daszyńskiego, dlatego też żadnym motywem mojego postępowania ona nie była.

Zaznaczyć też muszę, że kiedym przyjechał na pół dnia do Krakowa, zastałem Naczelny Komitet Narodowy już sformowany wyraźnie i wyłącznie z posłów galicyjskich do parlamentu wiedeńskiego i nie bez zadowolenia skonstatowałem, że pan Daszyński z socjalistami wszedł do tegoż Naczelnego Komitetu, jak i do zebrania posłów galicyjskich, jako integralna składowa część.

Nie mogę nie powiedzieć, że gdy w poprzednim rozdziale pan Piłsudski musiał od pana Daszyńskiego w pamiętnikach wysłuchać dużo gorzkich uwag za opuszczenie Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, to w niniejszym rozdziale autor pamiętników przechodzi z niezwykłą łatwością do porządku dziennego nad takimże postępkim pana Daszyńskiego. Ani jednej gorzkiej uwagi, pomimo, że wszedł do Koła Polskiego, które stale i namiętnie oskarżał i namiętnie obalał poprzednio.

Co do mnie, wszedłem odrazu w pertraktacje z prezesem Koła Polskiego i Naczelnego Komitetu Narodowego, panem Leo. Z pamiętników pana Da-

szyńskiego wnoszę, że pan Leo nie zechciał nigdy komunikować panu Daszyńskiemu treści tych pertraktacyj, chociaż powoływał nieraz do wspólnej rozmowy ze mną pana Jaworskiego.

Pertraktacje z panem Leo tyczyły się głównie ulepszenia uzbrojenia mego oddziału w polu i uregulowania stosunków pomiędzy mną a austriackim wojskiem; pan Leo najczęściej miał wtedy przy sobie jakiegoś kapitana, Czecha, nie należącego nawet do sztabu generalnego, który jakimś mentorskim tonem pouczał pana Leo, prezesa Koła Polskiego i prezesa Naczelnego Komitetu Narodowego, o swoich czy czyichś poglądach na każdą sprawę. Pouczał zawsze w niemieckim języku, chociaż po polsku widocznie rozumiał, gdyż ja w rozmowie nie użyłem ani razu słowa niemieckiego. Wyznaję, że ten obrazek zawsze mi stoi w pamięci i zawsze go zestawiałem z nadętą figurą pana Lea przy pierwszej konferencji przed moim wymarszem z Krakowa.

Nie wchodząc jednak w żadne głębsze analizy, zdecydowałem odrazu zrobić akces do tego pierwszego politycznego przejawu o charakterze czysto polskim, który jednak szedł w kierunku zbrojnego wystąpienia polskiego w tym czasie, gdy wszyscy na szalę wypadków rzucali miecze. Teraz, gdy tyle lat minęło od tej chwili, nieraz zastanawiam się nad tem, czym dobrze postąpił, czyniąc to właśnie tak szybko. I nieraz wydaje mi

się, że mogłem znacznie dłużej przeciągnąć moją absolutną niezależność, wykorzystując znacznie dłużej stworzoną przeze mnie fikcję Rządu Narodowego.

Główny zawód, jaki mnie po przystąpieniu do Naczelnego Komitetu Narodowego spotkał, tyczył się nie czego innego, jak stosunków z armją austriacką. Przedewszystkiem słów parę o tych stosunkach. Ten oficer, który w imieniu sztabu zawierał ze mną pierwszą umowę, przeznaczony na wypadek wojny do sztabu jednej z armij, idącej w pole, najzupełniej lojalnie o tem mnie uprzedził i dał mi nazwisko innego oficera, który miał się zgłosić sam do mnie, gdyż ja także odchodziłem w pole. Tak się też i stało, i to zaraz po moim pierwszym marszu do Kielc. Depeszę od niego wręczył mi motocyklista austriacki zaraz po zajęciu przeze mnie dworca kieleckiego. Depesza zawierała prośbę, żebym tegoż dnia wieczorem był w Krakowie, aby się z nim zobaczyć.

Istotnie, odjechawszy autem z Kielc, spotkałem się z nim w jednej z kawiarni krakowskich na dość długiej rozmowie. Ten pan podpułkownik powiedział mi, że stosunki się nieco zmieniły, jak powiedział, — na lepsze, gdyż prawdopodobnie da się utworzyć z części posłów wiedeńskich coś w rodzaju organizacji politycznej, do której sądzi, że najlepiej mnie przystąpić, obawia się on bowiem, że w przeciwnym razie mógłbym mieć dużo kłopo-

tów i oddział mój mógłby być narażony na najrozmaitsze przykrości, tak, że nie mógłbym osiągnąć swoich zamiarów. Gdym stwierdził, że nie jestem w stanie dać jakiegokolwiek odpowiedzi, nim nie będę dokładnie poinformowany o składzie personalnym tej zamierzonej instytucji, zakończył ze mną rozmowę, prosząc, bym jeszcze raz się z nim zobaczył, tym razem w Pińczowie, dokąd w tych dniach musi wyjechać.

Kiedym w parę dni potem po kilku potyczkach z Moskalami w okolicach Kielec już miał nieco spokoju z frontem, udałem się do Pińczowa, gdzie ku wielkiemu memu zdziwieniu dowiedziałem się, że ten podpułkownik razem ze sztabem tak zwanej grupy generała Kummera opuścił Pińczów w niedającym się określić kierunku. W ten sposób urwała mi się narazie wszelka nić konsekwentnego związku mego ze sztabem, z którym jednak czułem się związany słowem honoru.

Po zniknięciu, jak kamfora, obu tych panów zdecydowałem na pewien czas zostawić sprawę w spokoju, nim nie zakończę pierwszego okresu organizacji swego oddziału, która to organizacja była dopiero w zaczątku. Niestety, zaraz po zawiązaniu Naczelnego Komitetu Narodowego zaczęto poza mojemi plecami, bez mego udziału jakieś targi o mój oddział i, gdy przyjechałem do Krakowa, dowiedziałem się o istnieniu jakiejś komendy austriackiej, która się miesza jakimiś

rozkazami do tych oddziałów, które były przygotowywane przeze mnie w Krakowie do dalszego wycieczki. Udałem się odrazu do tej komendy, gdzie zastałem dwóch panów. Jeden z nich był to generał Baczyński, drugi zaś — kapitan Zagórski. Obaj mówili po polsku, jeden powoli i bardzo z niemiecka, drugi szybko i zato czysto po polsku. Gdy od generała zażądałem odpowiedzi, jakim prawem on się miesza swojemi rozkazami do oddziałów, do niego nie należących, odpowiedział mi, że on nie wie, dlaczego on nie ma prawa rozkazywać tym oddziałom i majestatycznie wskazał mi ręką na kapitana. Kapitan zaś zaczął mówić szybko i dużo, kłamiąc przytem tak bezczelnie w oczy o faktach, które już stwierdziłem, że zacząłem się silnie irytować. Na wszelkie moje wymagania, aby ten kapitan stwierdził przez kogo on jest upoważniony do rozmowy ze mną, kapitan ani razu nie wspomniał nazwiska tych dwóch panów, z którymi poprzednio mówiłem, tylko powoływał się albo na Naczelny Komitet Narodowy, albo na głównego dowódcę wojsk austriackich, generała Conrada. Wobec tych wszystkich niespodziewanych dla mnie zajść zakończyłem rozmowę dość brutalnie, stwierdzając, że nie uważam ich za jakichkolwiek dowódców. Pan Baczyński zaś i pan Zagórski oświadczyli mi, że oni zabronią jakimukolwiek z oddziałów, zebranych pod Kra-

kowem, wychodzić poza granice państwa austriackiego, do niedawna istniejące.

Wyszedłem więc i zdecydowałem zasięgnąć języka u pana Lea i w jego biurach.

Od pana Lea nie dowiedziałem się nic określonego. Zdawało mi się, że jak i generał Baczyński, chciałby on majestatycznym ruchem wskazać na kogoś, ktoby lepiej, niż on, mnie poinformował, natomiast w długim i rozwlekłym wywodzie chciał, abym wyraził mu zdanie swoje co do przysięgi wojskowej, która będzie ode mnie i od mego oddziału wymagana. W biurach zaś twierdzono mi, wedle zwyczaju, różne rzeczy, oparte na wszelkiego rodzaju plotkach. Twierdzono jednak, że pan Leo ma być w Przemyślu w głównej kwaterze austriackiej, dokąd jest wzywany. Stwierdzono mi również, że zamiarem tak zwanego Naczelnego Komitetu Narodowego jest utworzenie dwóch Legjonów — jednego wschodniego, drugiego zachodniego, gdyż obie części Galicji nigdy dotąd w niczem zgodzić się nie mogły. Dalej, że jakoby wschodni Legjon oddany został pod komendę znanemu mi, dawno już dymisjonowanemu generałowi Fijałkowskiemu, który wypłynął na widownię w roku 1913 jako nauczyciel wojskowy w organizacji sokołów galicyjskich. Jako by zaś nowy mój znajomy, pan generał Baczyński, miał być wybrany na dowódcę Legjonu za-

chodniego, przyczem zapewniano mnie, że pan generał Baczyński nigdy w polu dowodzić nie będzie i zatem całe dowodzenie zostanie w moich rękach.

Było to wszystko tak niespodziane dla mnie, a zarazem tak śpieszyłem do oddziałów, do nadzwyczajnie trudnej pracy zorganizowania kilku tysięcy ludzi w jakiś przyzwoity oddział wojskowy, że zdecydowałem nie zmieniać nic w dotychczasowym odmówieniu prawa dowodzenia panu Baczyńskiemu i panu Zagórskiemu i po daniu odpowiednich rozkazów na miejscu w Krakowie wyjechać natychmiast do Kielc.

Musiałem sam się dobrze namyślić, jak mam wybrnąć z tak dzikiej i nonsensownej sytuacji, narzuconej mi nagle przez Naczelny Komitet Narodowy.

W Kielcach więc, po załatwieniu mnóstwa najdrobniejszych spraw organizacyjnych, po przejściu przez szereg najrozmaitszych odpraw, do których stawało mi nieraz po kilkunastu oficerów, jednym słowem — po załatwieniu codziennej niesłychanie męczącej pracy zostałem sam ze swojemi wątpliwościami. Przedewszystkiem więc skonstatowałem dla siebie wyraźnie, że dotychczasowa prosta i nie zawierająca żadnych politycznych cech umowa ze sztabem austriackim zaczęła się rozchwiewać na dobre. Zaczęła się też rozchwiewać ona i pod względem technicznym,

gdyż związek i dotychczasowa prosta także łączność zaczęła się rozplýwać w jakiejś mgle, a o nawiązaniu jej w sposób naturalny przy tylu zajęciach, jakie na mnie spadły, mowy narazie być nie mogło.

W pierwszej sprawie, sprawie politycznej, sam skomplikowałem ją niezwykle przez pośpiech przyłączenia siebie do pierwszej powstałej na ziemiach polskich organizacji politycznej o charakterze wojennym. Mógłbym być, naturalnie, przeciągać sytuację, czyniąc z przysięgi motyw dla ratowania zagrożonej przez postępowanie Naczelnego Komitetu Narodowego niezależności Polski, lecz wtedy stawiałem na kartę możliwość dalszego swobodnego rozwoju nie przez co innego, jak przez istnienie niezaprzeczonego faktu, że więcej, niż trzy ćwierci mego oddziału, składało się z Galicjan, zatem z wyraźnych austriackich poddanych, którzy nawet mogli być ścigani za to, że noszą broń bez złożenia żołnierskiej przysięgi. Przecież na moje żądanie wycofano do 20 oficerów rezerwowych z szeregów już zmobilizowanej armji austriackiej, a jednego cofnięto nawet z placówki, wystawionej w kierunku nieprzyjaciela na froncie serbskim. Samo zaś przystąpienie do Naczelnego Komitetu Narodowego po sprawdzeniu tej organizacji wydawało mi się oddaniem oddziału i siebie w ręce najmniej pew-

ne i najmniej odpowiednie. Była to organizacja, złożona z posłów do parlamentu wiedeńskiego, w którym ja, jako nieaustriacki poddany i nie poseł, nie mógłbym ani zasiadać, ani tem bardziej pracować. W organizacji tej panowały ustawiczne spory, ustawiczna niezgoda i sejmikowanie, tak, że praca wojskowa nie mogła tam mieć żadnego dobrego kąta dla spokojnej i rozsądnej roboty i dlatego prawdopodobnie zostałaby zrzucona zgodnie z tem, co dotąd obserwowaliśmy, nie na kogo innego, jak na takie czy inne części wojska austriackiego. Rozumiałem więc dobrze całe skomplikowanie prostej dotychczas sytuacji i cały ciężar, leżący na mnie, przy chęci związania wszystkich moich zamiarów z całą nikłością dotychczasowej pracy polskiej.

Gdy zaś dodam, że wszyscy panowie austriaccy poddani byli, chociaż nie chcieli tego, zdaje mi się, zrozumieć, poddanymi państwa, będącego w stanie wojny, i zatem podlegali bezwzględnie presji wojennej tego państwa i że Galicjanie odznaczali się szaloną ignorancją we wszystkich sprawach, związanych z zażobem rosyjskim, oraz że instytucje Naczelnego Komitetu Narodowego czy Koła Polskiego w Wiedniu nie miały żadnego znaczenia i żadnego wpływu w zaborze rosyjskim, to moja praca, która się wiązała ustawicznie w wypadku wojennym nie z Galicją, a z zażobem rosyjskim, stawała odrazu pod wielkim

znakiem zapytania. Wyznaję, że nieraz nie widziałem żadnego wyjścia, żadnej możliwości dla uratowania sytuacji poprzedniej i zabezpieczenia zarówno sobie, jak i całemu oddziałowi większej dozy niezależności dla swobodnego rozwoju.

Tych parę dni i parę nocy należą do najbardziej męczących chwil mojego życia. Bardzo powoli zaczynałem zdobywać się na decyzję, pełną wątpliwości i pełną męczących chwiejności. Przewszystkiemi więc, odrzuciłem odrazu możliwość jakiegokolwiek czy formalnej, czy faktycznej zależności mojej i mego oddziału od Naczelnego Komitetu Narodowego, jako najzupełniej sprzecznej z moją zasadą pracy, opartej o zabór rosyjski. Następnie zdecydowałem, że zarówno organizacja wojska, jak i wszystkie stosunki z zaborem rosyjskim zostaną wyłącznie w moim ręku i nie zostaną przeze mnie dane ani Naczelnemu Komitetowi Narodowemu, ani armji austriackiej. Zgadałem się raczej rozstać z życiem, niż pod tym względem ustąpić. We wszystkich innych rzeczach zdecydowałem pracę, którą dla siebie nazywałem zawsze sztukowaniem. To znaczy, dawałem sobie swobodę cofania się od takich czy innych decyzyj i przedsięwzięcia prób wszelkiego rodzaju we wszystkich możliwych kierunkach, biorąc jako główny cel rozwój wojska o charakterze czysto polskim i możliwie dobre i dosko-

nałe zachowanie się całego wojska w polu. Co się tyczy przysięgi, zdecydowałem, że wszyscy Galicjanie muszą stanąć do przysięgi, natomiast wszystkim Królewiałom zostawiłem zupełną swobodę przysięgania lub nie. Zdecydowałem przytem, że w rozmowach z panem Leo o przysiędze będę stawiał tak dużo objeekcyj i tak dużo wątpliwości, ażeby to moje sztukowanie darmo nie minęło. Temu memu postanowieniu zostałem wierny, dopóki wreszcie nie zakończyłem tej pracy w twierdzy magdeburskiej.

Dodam, że o tem mojem postanowieniu nikomu nie mówiłem, nawet ze swoich najbliższych kolegów pracy, a tem bardziej panu Daszyńskiemu, którego, że powtórzę raz jeszcze, nigdy w nic nie wtajemniczałem, gdyż do utrzymania jakiegokolwiek tajemnicy nigdy nie był zdolny. Z posłów zaś galicyjskich pracowałem w tych sprawach niekiedy z panem Moraczewskim, który jednak wolał zawsze siedzieć w oddziale wojskowym, niż pracować politycznie czy w Kole Polskiem, czy też w Naczelnym Komitecie Narodowym.

16) Na stronie 170 tegoż rozdziału pan Daszyński jeszcze raz wspomina moje słowa, że mogę sobie w łeb strzelić, tym razem już nie w związku z czarno-żółtymi opaskami, ale z rozwiązaniem oddziału przez Austrjaków. Stwierdzam więc, że te słowa mu powiedziałem w związku z pierwszym

zawodem, który mnie spotkał ze strony panów z Naczelnego Komitetu Narodowego, którzy poza mojami plecami dla swojej wygodki sprzedali Austryjakom zarówno mnie, jak i mój oddział. Dodam jeszcze, że w przysiędze, złożonej w Kielcach, istotnie odczytano nam przy słowach „cesarzowi Austrii“ również słowa „królowi Polski“. Nieraz przy wielu dalszych ciężkich przejściach migłała mi myśl na te słowa się powołać i w ten sposób grać na wyodrębnienie jeszcze dalsze mojej Pierwszej Brygady z wojska austriackiego. Jednak nie mogłem ze siebie wydobyć nawet w dziedzinie sztukowania powoływania się na tę przysięgę.

17) W następnym rozdziale XXVII nazwisko moje zgodnie ze skorowidzem nazwisk, pomieszczonych na końcu książki, wspomniane jest pięć razy. Nie zatrzymuję się na niektórych z tych wypadków, gdzie nazwisko moje jest wspomniane, dlatego, że związane to jest w książce z temi czy innemi określeniami czy sytuacji, czy też mojej działalności, w co, naturalnie, nie wchodzę, pozostawiając swobodę panu Daszyńskiemu, jak i innym, w sądach o mnie.

Przechodzę więc do faktów. Na stronie 195 pan Daszyński opowiada o zebraniu we Frysztacie dnia 15 listopada 1914 roku, na którym to zebraniu miałem być ja wraz z sześciu innymi pa-

nami. Stwierdzam, że na tem zebraniu nie byłem i zatem nie wynosiłem żadnych frysztackich uchwał, na które tak często potem powołuje się pan Daszyński. Dnia 9 listopada wyszedłem z częścią mego oddziału do Krakowa przez Ulinę i od razu wpadłem w olbrzymie kłopoty, związane z komendą fortecy krakowskiej, która żądała, abym oddział swój wyprowadził z Krakowa, gdyż nie należy on do załogi fortecy, gdy ta weszła już w kontakt z nieprzyjacielem. Nie mogłem nawet oddać kilkudziesięciu jeńców rosyjskich, których z sobą przyprowadziłem, i zaledwie wytargowałem dwa dni zatrzymania w Krakowie dla wykąpania żołnierzy i jakiego takiego uporządkowania odzienia, zniszczonego przez długie marsze od Dębina aż pod Olkusz. Natomiast musiałem natychmiast się zajmować urządzeniem mego pierwszego kontaktu z główną kwaterą austriacką w Cieszynie i zarządzeniami, związanymi z resztą mego oddziału, który zostawiłem pod Krzywopłotami.

Pamiętam, że wyjechałem z Krakowa autem z panem Sokolnickim; zatrzymałem się 15 listopada na krótki czas u pana Ryszarda Kuniczkiego we Frysztacie i rozmawiałem tam z panem Sokolnickim o sprawach, które mogą mieć związek z treścią tego, co pan Daszyński nazywa frysztackimi uchwałami. W każdym razie w tym

czasie tak silnie przeważały we mnie wszystkie sprawy, związane z oddziałem moim, który musiałem połączyć w jedno, że na żadne zebrania nie miałem ani chwili czasu. Natomiast co do treści, związanej z Polską Organizacją Narodową, dałem swoje rozporządzenia znacznie przedtem, w początkach października, kiedy przyjechałem do Krakowa z pod Nowego Korczyna, jeszcze chory od grypy, którą schwyciłem, przeziębiony na Wiśle. Rozporządzenia moje dla cywilnej organizacji, poprzednio stworzonej przeze mnie w Kielcach, musiały być wydane, gdy likwidowałem wszystkie swoje urzędy i wojskowe, i cywilne przez ewakuację prawie wszystkiego, co było skompromitowane udziałem w pracy mojej w zaborze rosyjskim. Sądziłem wtedy, że najlepiej jest zlikwidować całą pracę cywilną i zato skoncentrować cały swój wysiłek na ochronę wszystkich, którzy musieli wyjechać do Galicji jako emigranci, gdyż obawiałem się, że Austrija odeśle wielu z nich do obozu internowanych, żeby nie mieć z nimi kłopotów. Dodawałem zawsze, że w ten sposób pozbedziemy się dodatkowych i niepotrzebnych elementów, żeby móc silniej i pewniej się rozrosnąć, gdy wypadki pozwolą na to. Radziłem przytem nie wahać się przed obciążeniem tą pracą krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego. Do zarządu tą całą pracą wyzna-

czyłem, jak i poprzednio, pana Sokolnickiego i pana Walerego Sławka. Forma, w którą złączy się mogły usiłowania Polskiej Organizacji Narodowej i Naczelnego Komitetu Narodowego, obchodziła mnie bardzo mało, tak, że żadnym inicjatorem w tej właśnie sprawie nie byłem i o tem w każdym razie nigdy z panem Daszyńskim nie rozmawiałem.

Co się zaś tyczy pomieszczonego na końcu rozdziału rozważania przez pana Daszyńskiego kwestji, czy Piłsudski wyzyskiwał Naczelny Komitet Narodowy, czy Naczelny Komitet Narodowy Piłsudskiego, głosu swego zabierać nie będę, gdyż już poprzednio określiłem w swojej decyzji, że liczyć się w swojej pracy z decyzjami Naczelnego Komitetu Narodowego nie chciałem i nie liczyłem się. Natomiast uważałem zawsze Naczelny Komitet Narodowy jako jedną z organizacji polskich, które się w całej Polsce wytworzyły w związku z wielką wojną europejską. Dlatego też nigdy przed władzami austriackimi tej organizacji nie robiłem nic złego i nie wykorzystywałem żadnej sposobności, których miałem bardzo wiele, aby tej organizacji szkodzić. Niestety, o reciprocite ze strony Naczelnego Komitetu Narodowego w stosunku do mnie nigdy mowy nie było, gdyż Naczelny Komitet Narodowy systematycznie i stale mnie szkodził u tych właśnie władz austriackich.

18). W rozdziale XXXIII nazwisko moje wspomniane jest dwa razy. Zaczynam pokolei. Na stronie 204 pan Daszyński opowiada o wydaleniu z Legjonów kilku oficerów „z Moraczewskim, Boernerem, Zamorskim (Kordjanem) na czele“. Dlaczego na czele, tego ja nie wiem, prawdą zaś jest to, że wbrew rozkazom zatrzymałem tych wszystkich oficerów w wojsku. Natomiast poważnem nadużyciem stylowem pana Daszyńskiego jest pomieszanie wymienionych oficerów z jakimiś mężami zaufania Naczelnego Komitetu Narodowego, którzy „zaopatrzeni w legitymacje ministerstwa spraw zagranicznych, mieli organizować opinię ludności Królestwa“. I „właśnie za tę działalność niepodległościową oficerów I Brygady kapitan austriackiego sztabu Zagórski... spowodował wydalenie z Legjonów“. Wszyscy wymienieni oficerowie nie czynili nic a nic z ramienia Naczelnego Komitetu Narodowego, natomiast, zaopatrzeni w legitymacje moje, potrafili przeciągnąć pracę Pierwszej Brygady na dalekich tyłach w Królestwie, nie słuchając nieraz wyraźnych rozkazów, dawanych im na dalekich etapach, tak, że ściągnęli tem na siebie wielkie niezadowolenie władz wojskowych i okupacyjnych. Dość prawdopodobnem mi się wydawało, że obciążeni byli również donosami agentów Naczelnego Komitetu Narodowego i pana Władysła-

wa Sikorskiego. Zajmowali się ci oficerowie przeszwarcowaniem wielkiej ilości młodzieży z Galicji, która była zagrożona w tym czasie wzięciem jej do wojska austriackiego.

19) Na stronie 208 pan Daszyński opowiada o swoim pobycie w Pierwszej Brygadzie w okopach nad Nidą w czasie koło 19 marca 1915 roku. Co do mnie, nie przypominam sobie, abym widział pana Daszyńskiego podczas obiadu imieninowego w Grudzynach, natomiast jest możliwe, że jakąś jedną chwilę widziałem się z panem Daszyńskim w tychże Grudzynach. Nie mogę jednak ani rusz powiązać tej jego wizyty z memi imieninami i obiadem.

20) W rozdziale XXIX pan Daszyński traktuje sprawy, związane z przełomowym dla Polski rokiem 1915. Już na stronie 214 pan Daszyński bez żadnej zresztą podstawy mówi o mnie, że podczas mego pobytu w Warszawie w sierpniu tegoż roku „brednie różnych polityków doprowadzały go wówczas do rozpacz”. Mogę z zupełną pewnością zaświadczyć, że rozpacz nie odczuwałem, a że brednie różnych polityków galicyjskich, a jeszcze bardziej ich czynności robiły mnie tyśiąc razy więcej przykrości, niż oszołomienie Warszawy, zajętej przez Niemców. Na stronie 216 pan Daszyński pisze, że „Piłsudski wydał hasło: nie werbować. Ponieważ zaś młodzież rwała się

do Pierwszej Brygady, więc kilkuset zorganizowanych pod dowództwem Tadeusza Żulińskiego młodzieńców wymaszerowało do Brygady, ale werbunku, prowadzonego przez Departament Wojskowy, niepodległościowcy nie uznawali“. Te wszystkie słowa wydają mi się odbiciem tej burzy w skłance wody, która w głowach polityków Naczelnego Komitetu Narodowego z ich „bredniami“ odbywała się codzien w innej postaci. Więc przedewszystkiem dla mnie miarodajnem było nie to, co się dzieje w burzy w szklance wody galicyjskiej, ale stan mojej organizacji, prowadzonej przez Żulińskiego, oraz stosunek Niemców do wszystkiego tego, co się dzieje w zajętej Warszawie. Natomiast rozmowy moje z tak zwanymi przez pana Daszyńskiego politykami były tylko orjentacyjne, gdyż rozumiałem dobrze, że gwałtowna zmiana, która w życiu Warszawy zajść musiała, dopiero powoli wyrobić może sądy o rzeczy. Przekonałem się odrazu, że w stosunku do mnie i prac moich spotkać muszę względnie szeroki oddźwięk, tak, jak go spotkałem w znacznie jaśniejszym i większym rozmiarze w Lublinie. Co się tyczy organizacji Żulińskiego, to przedewszystkiem liczyła ona nie kilkuset, a kilka tysięcy zorganizowanych ludzi. Tę, niestety, najbardziej zorganizowaną część Warszawy spotkało przykre rozczarowanie z powodu

stosunku, jaki istniał dla Pierwszej Brygady zarówno ze strony władz austriackich, jak i Naczelnego Komitetu Narodowego. Wobec tego zarządziłem natychmiastowe odmaszerowanie do Brygady wszystkich najgorętszych i pozostawienie reszty tam, gdzie się znajdowali. A wobec wielkiej prośby ś. p. Żulińskiego, abym mu pozwolił chociażby na czas mały odejść do Brygady, ku wielkiemu memu niezadowoleniu musiałem wyznaczyć komendę nową. Jako zasadę na czas pewien kazałem przyjąć odsyłanie do Brygady wszelakimi sposobami i drogami wszystkich tych, którzy się skompromitują wobec władz niemieckich i austriackich. Dla reszty zaś dałem rozkaz pozostawać w spokoju, możliwie rozszerzając organizację, nakazałem przytem dużą ostrożność w stosunku do organizacji Naczelnego Komitetu Narodowego i pana Sikorskiego, gdyż przesiana ona jest najohydniejszym szpiegostwem. Żadnego zaś hasła „nie werbować“ nie wydawałem, sprawa zaś sama werbunku rozdęta była właśnie w sposób taki, jak pan Daszyński pisze, przez Naczelną Komitet Narodowy i przez Departament Wojskowy z panem Sikorskim na czele, gdyż ani władze austriackie, ani władze niemieckie nie podnosiły tej sprawy i nie czyniły z niej czegoś ważnego. Przyszło do tego znacznie później.

21) W rozdziale XXXI na stronie 246 pan Daszyński opowiada o podaniu się mojem do dymisji z wojska. Wiążąc przytem to moje wystąpienie z wojska z najrozmaitszemi motywami i wypadkami, mówi o jakimś „wyczerpaniu wszystkich środków walki“ przeze mnie, tak, że sam ten akt wyjścia z Legjonów nie ma całkiem podobieństwa ani do tych motywów, które oficjalnie podałem, ani do tych dodatkowych motywów, których w oficjalnem podaniu się do dymisji nie przytoczyłem. Decyzja moja o mojem wyjściu z Legjonów zapadła akurat rok przedtem, gdym wrócił z Warszawy do wojska, które pod Kowlem rozpoczęło kampanję na Wołyniu. O tem zaś powiadomiłem wszystkich oficerów w mojej Brygadzie do dowódców kompanij włącznie. Rozumiem, że pan Daszyński, niepowiadamiany przeze mnie o tym moim zamiarze, może robić jakie chcą przypuszczenia o tym ważnym dla rozwoju wypadków fakcie, w każdym jednak razie ustępy, związane z moją dymisją, nie odpowiadają prawdzie i nie mogą być brane jako podstawa dla jakiegokolwiek historii.

W innych wypadkach (dwóch) nazwisko moje jest wspomniane tak okolicznościowo, że nie mam w nich nic do powiedzenia.

22) W rozdziale XXXII nazwisko moje wspomniane jest przez pana Daszyńskiego na początku

rozdziału z powodu Rady Stanu i z powodu P. O. W. Przedewszystkiem powiedzieć muszę, że wszystko to, co pan Daszyński mówi o P. O. W., ku wielkiemu memu zdziwieniu jest tak mętne i tak pomieszane z jakimiś dodatkami, jakby rozmyślnie wiążącemi P. O. W., to z ruchem niepodległościowym, to z moją ideą, lecz za nic w świecie wyraźnie z moją osobą, że przypomina mi to bezwiednie także groźby, robione przez pana Daszyńskiego w stosunku do mnie w sprawie Komisji Tymczasowej Stronnictw Niepodległościowych na początku wojny. Tak więc pan Daszyński pisze, że jacyś nie wymienieni niepodległościowcy, łudząc się, „zaczynali się naradzać nad ujawnieniem Polskiej Organizacji Wojskowej i oddaniem jej Radzie Stanu“. Ależ P. O. W. była pod wyraźną moją komendą i miała na czele oficerów Pierwszej Brygady, których dla tego celu odkomenderowałem do Warszawy. Nie było więc mowy o tem, ażeby P. O. W., która była jakgdyby rozciągnięciem Pierwszej Brygady w Królestwie, mogła cokolwiek postanowić bez mego wyrażnego na to rozkazu. Istotnie jest słuszne, że byłem znacznie ostrożniejszy, niż wszyscy panowie z Rady Stanu, i nie życzyłem sobie rozszerzenia Legjonów, dopóki nie stanie się jasnym, w jakiej formie ma to być przeprowadzone. Wiedziałem zaś z zachowania się zarówno pana Beselera, jak

i pułkownika Paiča, który był w Warszawie reprezentantem armji austriackiej, jak i z rozmów z nimi, że obie armje — niemiecka i austriacka — chciałyby bardzo widzieć Legjony silnie wzmożone.

Następnie, pan Daszyński, podając jakoby historję P. O. W., zupełnie spokojnie miesza dwie rzeczy: jedną P. O. W., dowodzoną istotnie przez ś. p. Żulińskiego, która pracowała jeszcze w załozie rosyjskim, z inną P. O. W., inaczej prowadzoną i inne cele sobie stawiającą podczas panowania niemiecko-austriackiego w Królestwie. P. O. W. wtedy, gdy istniała Rada Stanu ze mną, jeszcze niezaaresztowanym, była pod komendą oficera z mego sztabu, pana Tadeusza Kasprzyckiego. Wydaje mi się tem dziwniejszem to jakgdyby pomieszczenie pojęć o P. O. W., gdy właśnie w całym Królestwie P. O. W. więcej znaczyła realnie, niż wszystkie partje, będące w Królestwie.

23) W rozdziale XXXIII pan Daszyński wspomina moje nazwisko kilka razy, raz jeden zaś tylko w związku z mojami czynnościami. Czynności te związane są z P. O. W. i moją pracą w Radzie Stanu. Przedewszystkiem stwierdzić muszę, że tak nonsensownego planu, jaki mnie przypisuje pan Daszyński, nigdy nie miałem i nigdy takim planem się nie zajmowałem. Mianowicie — pan Daszyński po stwierdzeniu, że panu Sikorskiemu nie udało się werbunek, mówi: „Wówczas Piłsudski, który był

członkiem Rady Stanu, postanowił użyć P. O. W. do tego, aby Rada Stanu uzyskała stanowisko samodzielne przez oparcie się na kadrach wojska polskiego, jakimi była P. O. W. Wygląda mi to tak zabawnie i tak śmiesznie, że tylko człowiek bardzo i bardzo naiwny mógłby takie głupstwa powiedzieć. Więc P. O. W. nigdy kadrami wojska polskiego być nie mogła, następnie zaś nie mogłem nigdy być tak naiwny, abym oddawał w ręce Rady Stanu samą P. O. W.; po pierwsze—P. O. W. nigdy na to by się nie zgodziła, po drugie—Rada Stanu, tak, jak Naczelny Komitet Narodowy niegdyś, sprzedałaby natychmiast wszystko, co było i P. O. W., i Legjonami, nawet za małe wygody życia. Natomiast władze wojskowe, zarówno niemieckie, jak i austriackie, ze mną targowały się stale tylko o P. O. W. Moje zaś stanowisko, które panu Beselerowi kilka razy powtarzałem, było zawsze jedno i to samo, mianowicie — że werbunek udać się nie może nigdy z chwilą, gdy stosunek do formacji wojska polskiego ma być niezmieniony. I gdy Austriakom ta metoda się nie udała, to tem mniej może się udać Niemcom, do których stosunek ludności jest daleko gorszy, niż do Austriaków. Twierdziłem przytem, że te metody, obostrzone przez Niemców, są tego rodzaju, że wydaje mi się ciągle, jak to było zresztą z Austriakami, że się rozmyślnie robi wszystko, aby powstaniu wojska polskiego możli-

wie szkodzić. Dlatego też, powtarzam, tego śmiesznego planu, przypisywanego mnie przez pana Daszyńskiego, nie miałem.

Następnie co do przysięgi, której zażądano od Legjonów,—co do mnie, wyraźnie zabroniłem składania tej przysięgi. Wiedziałem wtedy dobrze, że nieomal całość swojej dotychczasowej pracy prawie zupełnie kasuję, kazałem więc P. O. W. wejść możliwie głęboko pod ziemię, wchłaniając w siebie wszystkich tych legjonistów, którzy wyjdą z wojska. Co do siebie samego, postanowiłem zaraz zając się wszelkimi przygotowaniem do przejścia z kilku ludźmi na drugą stronę drutów, to znaczy do Rosji, gdzie zaczęła się praca rozkładu dotychczasowego systemu i gdzie, jak wiedziałem, na pierwszym zjeździe wojskowych Polaków wybrano mnie jako honorowego dowódcę wszystkich wojsk polskich. Śmiałem się zawsze w tym czasie, że sprawa polska przy ogólnym tchórzostwie grana jest stale przez Polaków nigdy in plus, a zawsze in minus, wtedy, kiedy ja prowadzę ją stale in plus, a nie in minus. Przyrównywałem to do gry w winta i twierdziłem, że wobec tego, że nasz kolor jest dotąd najniższy, to znaczy, że mamy piki, to dociągnąłem po tej stronie frontu do trzech pików, po tamtej zaś stronie można już zacząć od czterech pików.

Ten plan mój już mi się nie udał. Nie udał się głównie dlatego, że z chwilą odmówienia przysię-

gi przez olbrzymią większość legjonistów wszyscy polscy politycy ówczesni, jakgdyby uprzedzając zamiary czy chęci władz okupacyjnych, zaczęli mówić w Warszawie, Krakowie, w Wiedniu, że Niemcy wszystkich, którzy odmawiają przysięgi, rozstrzelają i zrobią z nich nową hekatombę. Zdecydowałem wtedy, że nie mogę wobec tego opuścić szeregów, tak wiernie mi oddanych, i dlatego zostawiam pewien czas, który określiłem na dwa tygodnie, kiedy oddaję się do dyspozycji narówni z memi towarzyszami broni. Jakoteż zostałem przed upłynięciem tych dwóch tygodni aresztowany i razem z Sosnkowskim wywieziony.

Taką więc była istotna historja, wtedy, kiedy u pana Daszyńskiego w jego pamiętnikach nie tylko ja, lecz i Legjony i tem bardziej P. O. W. wyglądają, jak przyczepka do przemówień i pracy pana Daszyńskiego, do jakiejś lewicy demokratycznej i do jakichś nieokreślonych „ruchów“.

24) W następnych rozdziałach pana Daszyńskiego aż do ostatniego rozdziału, gdzie się zaczyna „powrót Piłsudskiego z niewoli“, nazwisko moje wspomniane jest okolicznościowo. Najczęściej, o ile mogłem skonstatować, nazwisko moje łączy się z wszelkiego rodzaju żądaniami, stawianemi to Niemcom, to Austryjakom o zwolnienie mnie z Magdeburga. Wobec tego zaś, że byłem izolowany od Polski przez dobrych kilkanaście miesięcy, nie mogłem brać udziału w żadnej z prac, które w owe

czasy w Polsce robiono, więcej nawet, nie mogłem o tych pracach nawet nic wiedzieć, gdyż żadne pismo polskie do mnie nie dochodziło i jako jedyne pismo miałem nacjonal-liberalne *Magdeburger Zeitung*, które akurat o Polsce nigdy nic nie pisało. Dlatego też nie mam właściwie nic do sprostowania we wszystkich tych rozdziałach pana Daszyńskiego.

Jeden mały wyjątek zrobić muszę, gdyż nie odpowiada on najzupełniej prawdzie. Mianowicie — na stronie 323 pan Daszyński opisuje wizytę u siebie w Krakowie pana Władysława Seydy i to w styczniu 1919 roku, to jest w tym czasie, gdy byłem już w Warszawie i prowadziłem Polskę do zebrania sejmu w tejże Warszawie. Pan Daszyński pisze, że „groźba Piłsudskiego, że Komitet (narodowy) każe zamknąć do aresztu, położyła kres tym endeckim pomysłom“; szło, jak pisze pan Daszyński, o propozycje pana Władysława Seydy, aby razem z socjalistami nie dopuścić do wyborów.

Stwierdzam więc, że nigdy od pana Daszyńskiego o tej propozycji pana Seydy nie słyszałem i zatem nie potrzebowałem wcale grozić ani panu Władysławowi Seydzie, ani żadnemu Komitetowi.

25) W ostatnim rozdziale XXXVIII pan Daszyński traktuje „powrót Piłsudskiego z niewoli i utworzenie pierwszego rządu państwa polskiego“. Kiedy po kilka razy przeczytałem historję utworzenia pierwszego rządu, nie mogłem nie podziwiać, jak

bez ceremonji pan Daszyński stale obchodzi się z historją, z faktami, datami i ze wszystkimi okolicznościami zewnętrznymi w stosunku do siebie. Siebie, naturalnie, nie poznawałem zupełnie. Jakiś inny Piłsudski, nie grający przytem żadnej roli, taka jakaś kulisa sceniczna. Dlatego też z wielkim trudem szukałem metody, jakąbym mógł iść celem sprostowania historycznego. Za dużo w tem wszystkim jakichś kłamanych anegdot historycznych, jakichś poplątanych zupełnie faktów, mających ciągle jako wiązadło pana Daszyńskiego. Trudności zwiększają się dla mnie jeszcze dlatego, że piszę to na Maderze i nie mogę z pewnością i ścisłością trzymać się dat historycznych, których na dalekim oceanie sprawdzić mi gdziekolwiek jest trudno, a pamięci dat, niestety, nie posiadam.

Otóż pan Daszyński opowiada, że 11 listopada, po telefonicznej ze mną rozmowie, przyjechał wieczorem około godziny dziesiątej do Warszawy, gdzie przyjął go Piłsudski z żółtą i niezdrową cerą twarzy, mocno zdenerwowany i bardzo zmęczony, i po długich rozmowach zdecydował, że powierza Daszyńskiemu utworzenie gabinetu. Dodaje przytem: Piłsudski „miał wówczas faktyczną władzę i był rzeczywistym naczelnikiem państwa, bo nie tylko regencja mu ją oddała, ale naród cały ją bez protestu uznał“. W dalszym zaś ciągu na początku strony 329 pan Daszyński pisze: „w listopadzie koalicyjny rząd był w Polsce niemożliwym. Pił-

sudski pragnął tego rządu, lecz i on liczył się z przeszkodami i zdecydował się na rząd ludowy“.

Ręce mi opadają od tego zbioru kłamstw i przekreń.

Faktycznie pierwsze dni moich prac w Warszawie po powrocie z Magdeburga wyglądały następująco:

Doskonale pamiętam dzień 10 listopada, jako pierwszy dzień mego pobytu w Warszawie. Cały ten dzień spędziłem na ulicy Moniuszki i starałem się choć trochę porjentować w sytuacji w Warszawie, choć trochę chwycić fakty z całej długiej przestrzeni czasu, kiedy ja byłem w Magdeburgu, najzupełniej izolowany od Polski; a czułem, że stosunki pomiędzy ludźmi, nawet mnie bliskimi, zupełnie się zmieniły. Przytem cały czas drzwi się nie zamykały; wbiegali najrozmaitsi ludzie, żeby na mnie choć popatrzeć, choć słowo do mnie przemówić. Przychodziły różne delegacje z mowami, odbywała się pod balkonem manifestacja, do której musiałem wychodzić. I to wszystko odbywało się po dzikich wrażeniach nagłego zwolnienia mnie z Magdeburga z powodu wybuchu rewolucji w tem mieście, po nagłych berlińskich wrażeniach i po wybuchu rewolucji w stolicy Niemiec i po długiej niespanej nocy, spędzonej w wagonie w extra pociągu, którym mnie z Berlina odesłano do Warszawy.

Kiedy wreszcie około godziny dziesiątej wieczorem zakazałem kogokolwiek puszczać do mnie i zastanowiłem się nad sytuacją, w której się znalazłem w stolicy Polski, w której panował Beseler, zdecydowałem natychmiast wyjechać z Warszawy, gdy Austria już upadła, a całe pół Królestwa, czyli okupacja niemiecka, stała jeszcze bez zmiany. Zdecydowałem jechać do Lublina, gdzie był generał Śmigły, i do Krakowa, gdzie był Roja, o czym się dowiedziałem od różnych ludzi. Chaos, z którym się spotkałem w Warszawie, był tak bezmierny, że bez zastanowienia się i obeznania się z charakterem tego chaosu uważałem za niemożliwe dla siebie przystąpić do jakiejś pracy. Obciążał tę moją decyzję bardzo fakt, że ledwie chwilę tylko mógł widzieć swoją córkę, która mi się urodziła podczas mego pobytu w Magdeburgu. Z tą decyzją położyłem się spać — żeby choć trochę się przespać.

Nie sądzono jednak spać mi tej nocy. Wkrótce po zaśnięciu zostałem obudzony i zaraportowano mi, że przyszła do mnie delegacja od *Soldatenratu*, czyli Żołnierskiej Rady, z jej przewodniczącym na czele, który w imieniu tej Rady objął komendę nad całym wojskiem niemieckim, które jeszcze w generał-gubernatorstwie warszawskim istniało. Gdy, zdziwiony tą delegacją, zapytał, czego mogą chcieć ode mnie, stwierdzili, że są gotowi poddać się wszystkim moim zarządzeniom, bylebym im zagwarantował życie i swobodny

odjazd do ojczyzny. Gdym zaś zdziwiony zapytał, dlaczego zwracają się do mnie, a nie do kogo innego, gdy ja świeżo przybyły z Magdeburga nie mogę mieć w ręku żadnej organizacji, tak pewnej i silnej, ażeby wola moja była zagwarantowana w dostatecznej mierze, odpowiedzieli mi w sposób nadzwyczajnie dowcipny. Mianowicie—stwierdzili, że nie chcą przeszkadzać Polakom w żadnej ich pracy w Polsce, lecz nie mogą zwrócić się do nikogo oprócz mnie, dlatego, że widzą, iż gdyby się zwrócili do kogo innego, czy do jakiejś grupy, to właśnie dlatego, że się zwrócili do takiej grupy czy człowieka, zostaliby wyróżnieni przez innych. Twierdzili przytem, że gdybym się na to nie zgodził, to muszą zaraz dać rozporządzenie ostrego pogotowia i będą musieli siłą otwierać sobie drogę do Niemiec. Po krótkim namyśle musiałem dać odpowiedź, zapytałem więc, czy oddadzą w moje posiadanie broń niemiecką, która istnieje na tym terenie; drugie — czy oddadzą w ręce moje wszystkie lokomotywy i wagony, które są na terenie od nich zależnym i wreszcie, czy całą łączność telefoniczną i telegraficzną będzie dana mi do użytku dla rozmów i depesz. Najbardziej w odpowiedzi wahano się co do broni, nietylko w obawie życia, ale dlatego, że niektóre oddziały nie zechcą usłuchać takiego rozkazu. Byłem jednak bezwzględny i obstawałem przy swoim. Jeżeli czułem, że przedstawiciele *Soldatenratu* zaczynają ustępować, to

znowu dla mnie następował okres wahania się; jakżeż ja to zrobię?; dlatego też powiedziałem, że w tej chwili na takie rzeczy zdecydować się nie mogę; wtedy panowie ci odpowiedzieli mi ostatecznie, że oni mogą czekać na moją odpowiedź tylko do ósmej rano dnia następnego, gdyż wtedy muszą natychmiast dać odpowiednie rozkazy.

Kazałem więc wtedy podać sobie mocnej herbaty i siadłem do rozmyślania nad nową decyzją. Broń, lokomotywy i wagony stanowiły w tym czasie takie precjoza, że warto było zagrać na tę umowę, której nawet z pewnością nie mogę dotrzymać. Pamiętałem dobrze swoje myśli w wagonie, pędzącym z Berlina do Warszawy i unoszącym mnie poprzedniej nocy z więzienia na swobodę, i pamiętałem, jak jedną z najbardziej dokuczliwych dla mnie myśli była, że nas okupanci mogą zostawić bez jednej lokomotywy i bez jednego telefonu, czyniąc z nas prymitywy pod względem techniki życia. Nazajutrz rano dałem odpowiedź, zgadzającą się na gwarancję, stwierdzającą jednak, że muszę mieć czas do uporządkowania kraju, dając przytem z mojej strony wybranego przeze mnie oficera dla stałego pracowania u nich dla ich jak najprędzszego wywiezienia. Wybrałem do tego jednego z najenergiczniejszych moich oficerów, doskonale mówiącego po niemiecku, pana Boenera, obecnego ministra poczt i telegrafów. Drugi warunek, który im postawiłem, była ochrona dla nich

narzucona wszystkim oficerów niemieckich, z którymi mogą sobie czynić w swojej ojczyźnie, co chcą, u nas zaś nie wolno było ich obrażać, nie wolno było zdzierać im odznak, wolno było tylko ich rozbijać. W ten sposób zmieniłem swoją poprzednią decyzję wyjazdu z Warszawy i dopiero drugiego dnia po przyjeździe zacząłem myśleć o utworzeniu rządu w Warszawie.

Nim przystąpię do opisu przejść, z tem związanym, stwierdzę raz jeszcze, że tu, na Maderze, nie jestem w stanie sprawdzić ściśle dat takich czy innych moich czynności, lecz z pewnością powiedzieć mogę, że zobaczyłem się z panem Daszyńskim i z całym rządem lubelskim na pewno nie drugiego dnia po mojem przybyciu do Warszawy, lecz musiało to się stać, jak mnie się zdaje, czwartego lub piątego dnia. Drugi dzień cały, zatem 11 listopada, poświęciłem przede wszystkim na zorganizowanie choć jakiegokolwiek pomocy sobie w pierwszych moich krokach i na jakim takim zorjentowaniu się w sytuacji możliwie w całym kraju. Przychodziło mi to z nadzwyczajną trudnością, gdyż najbliżsi mi ludzie raczej rozpytywali mnie, niż w czemkolwiek mnie orjentowali, a — powtarzam — spostrzegłem zmiany w stosunkach między nimi, w których sam nie mogłem się zupełnie zorjentować. Obok tego przyjmować musiałem stale i ciągle całe mnóstwo znajomych i nieznanym, którzy wbiegali powiedzieć mi o swojej radości, albo ra-

czej orjentowali się u mnie, niż ja u nich. Wszyscy zaś chcieli najwyżej trzech minut albo czterech, które się przeciągały do dziesięciu albo piętnastu, przyczem wszyscy ofiarowywali mi swoją pomoc, pozostając w pokoju, gdzie ja przyjmowałem i po 10 i 15 minutach. Służba zaś wewnętrzna po przeprowadzeniu tysiąca klótni machnęła na wszystko ręką i tylko z radosnemi minami wносиła mi ciągle gorącą herbatę i pchała we mnie rozmaite przekąski i zakąski. Szukałem wciąż coraz innego pokoju, gdziebym cokolwiek i z kimkolwiek mógł porozmawiać. Miłość więc do mnie pozostawiała mi niezwykle mało czasu do zastanowienia się i pobierania decyzji.

Z tych skąpych jednak informacji zdążyłem zrozumieć, że mam w Polsce co najmniej już cztery rządy; jeden z nich był w Warszawie w postaci umierającej i wchodzącej do grobu Rejencji, drugi był w Krakowie, oparty na patencie cesarza Karola i złożony z posłów do zaginionego już parlamentu wiedeńskiego. Rząd ten opierał się więc na kondominium z zagasłym już rządem austriackim, chociaż wojsko było jakoby w rękach pułkownika Roji, na którego mogłem liczyć śmiało. Trzecim był rząd ludowy i lubelski, który chciał objąć zarządzeniami byłą okupację austriacką. Czwartym wreszcie był rząd *Soldatenratu* w Poznaniu, do którego wchodziłi i przedstawiciele Polski. Piątym nareszcie byłem ja sam,

który chciał urządzić rząd bez żadnych przymiotników dla całej Polski. Dodam, że do rządu ludowego i lubelskiego wchodził i pułkownik Śmigły, na którego także liczyłem na pewno. W Warszawie zaś liczyć mogłem, że wszystko, co jest wojskiem, stanie pod mojem dowództwem.

Gdy więc ja nie mogłem już wyjechać z Warszawy, tak, jak zamierzałem, do Lublina i Krakowa, zamierzałem zacząć od rządu ludowego i lubelskiego, ażeby go sobie poddać. Wydawało mi się to najłatwiejszem, i zresztą miał on ten plus w porównaniu z innymi, że nie opierał się na żadnem kondominium z byłymi zaborcami Polski.

Nie pamiętam już teraz, czy przed ściągnięciem całego rządu lubelskiego do mnie do Warszawy, rozmawiałem z prezem tego rządu, Daszyńskim, osobno, czy też rozmawiałem również osobno z innymi członkami tegoż rządu bez posiedzenia, zacząłem jednak od tych twierdzeń, któremi i zakończyłem na posiedzeniu tegoż rządu u mnie w mieszkaniu na Mokotowskiej. Twierdzenia te były następujące: po pierwsze, że dążyć będę do rządu koalicyjnego, który znowu dążyć będzie do możliwie szybkiego zwołania sejmku w Warszawie, po drugie zaś, że nie chcę dopuścić, by rząd był ubrany w jakiekolwiek przymiotniki, gdyż to jest śmiesznem naśladownictwem eksperymentów, idących od wschodu. Na

te spory o słowa, o szyldy musiałem zużyć dużo energii i wtedy zażądałem, aby rząd odbył posiedzenie w Warszawie u mnie. Pamiętam żywo to posiedzenie, na którym osobiście przewodniczyłem. Postawiłem tam kwestję zupełnie wyraźnie, żądając, żeby rząd się rozwiązał, pozostawiając mnie swobodę działania. Spotkałem opór ze strony pana Daszyńskiego i kwaśne miny ze strony części tego rządu. Zwróciłem się wtedy do pułkownika Śmigłego, żądając odpowiedzi, czy staje natychmiast pod moją komendą. Pułkownik Śmigły stanął na baczność i stwierdził, że zawsze był moim podwładnym i chce nim pozostać. Dodam jeszcze, że zarówno pan Daszyński, jak niektórzy z członków lubelskiego rządu, chcieli urządzić rewolucję przeciwko Rejencji, której zresztą odmawiali wszelkiego wpływu i znaczenia, co zresztą było ściśłą prawdą. Pozostawiłem więc po odebraniu wojska pod moją komendą rząd lubelski na naradzie u mnie, żądając odpowiedzi możliwie szybkiej i gdy po jakimś czasie zostałem znowu zaproszony na posiedzenie, Daszyński w imieniu rządu stwierdził jego rozwiązanie, dodając, że gdy odebrałem rządowi ministra wojny, rząd utrzymać się nie może. Zdecydowałem wtedy odrazu, że będę musiał oddać sformowanie gabinetu panu Daszyńskiemu; czyniłem to z pewną wewnętrzną niechęcią, lecz postanowiłem odrazu,

że postawię dwa zasadnicze warunki. Jeden z nich tyczył się natychmiastowej i pośpiesznej pracy nad zwołaniem sejmu w Warszawie, drugi zaś tyczył się zaniechania jakiegokolwiek pracy prawodawczej i wprowadzania jakichkolwiek praw o charakterze socjalnym, nim sejm nie zbierze się w Warszawie. Zdawało mi się, że te zastrzeżenia wystarczą. Natomiast zdecydowałem, że przedtem, nim oddam sformowanie gabinetu panu Daszyńskiemu, muszę uczynić coś w rodzaju narady czy wysłuchania opinji całego szeregu ludzi, reprezentujących choć cokolwiek z mnóstwa tajnych dotąd organizacyj o charakterze politycznym. Nie mogłem bowiem dopuścić, abym, czyniąc taki wyłom w pojęciach ludzi w Polsce, dając na czoło rządu człowieka, zupełnie nieznanego w przeważnej części Polski, nie miał nawet próby porozmawiania chociażby nawet mylnie wybranych ludzi. Wielce pomocnym przy tym doborze ludzi był mi pan Artur Śliwiński, który mi bezstronnie oświetlił sytuację polityczną w Warszawie.

Poświęciłem na to całe dwa dni i pokolei wysłuchałem czterdziestu kilku ludzi, nie mówiąc sam przytem nic a nic, a tylko wysłuchując różne opinie, narzekania i, co najważniejsza, absolutną odmowę dania mi jakiegokolwiek rady czy wymienienia jakiegokolwiek nazwiska w sprawie

utworzenia rządu w Polsce. Zdecydowałem wtedy, że jestem już wolny od narad, i zgodnie ze swoją decyzją oddałem tworzenie gabinetu panu Daszyńskiemu. A że wszystkim panom mówiłem o konieczności współpracy i utworzeniu koalicyjnego rządu, dlatego też to polecenie dałem również panu Daszyńskiemu. Nie wiem, dlaczego pan Daszyński w swoich pamiętnikach tak starannie opuszcza moją pracę nad utworzeniem rządu, czyniąc fałszerstwo historii i usuwając mnie i moje żądania, i pisze, że ja się zdecydowałem na rząd ludowy (strona 329).

Przy rozmowie z Daszyńskim i niektórymi innymi członkami rządu lubelskiego stwierdziłem, że główną przeszkodą dla rządu koalicyjnego była niemożliwość nawet rozmowy z Narodową Demokracją. Na moje usilne nalegania skończyło się możliwością rozmowy z Narodowymi Demokratami, ale tylko poznańskimi. Tymczasem późnym wieczorem czy tegoż dnia, gdy publicznie stało się wiadomem, że Daszyński ma misję tworzenia rządu, czy też nazajutrz potem zgłosił się do mnie niejaki pan dr. Padeřewski, znany przedstawiciel Narodowej Demokracji w Warszawie. Ja leżałem w łóżku, gdyż miałem gorączkę, przyjąłem więc tego pana w łóżku. Pan ten począł mi mówić o niemożliwości dla Narodowej Demokracji pracy z panem Daszyńskim, nato-

miast uważał za możliwe pracę z panem Moraczewskim. Przyczem pomiędzy rozmaitemi argumentami przeciwko panu Daszyńskiemu czynił kilkakrotnie z obleśnym uśmiechem bardzo brzydkie i ubliżające uwagi o panu Daszyńskim. Wreszcie przerwałem te wynurzenia, zbesztalem tego pana za podobne traktowanie rzeczy i przerwałem wszelkie z nim rozmowy. Postanowiłem jednak wykorzystać tę rozmowę dla usunięcia pana Daszyńskiego, gdyż z jego pracy już dotychczasowej wywnioskowałem, że tworzenie rządu będzie trwać bardzo długo i skończy się, jak zwykle u pana Daszyńskiego, którego przecie znałem, oskarżaniem wszystkich absolutnie, nie wyłączając nawet i mnie.

Dlatego też już nazajutrz rozmówiłem się z panem Moraczewskim, któremu opowiedziałem ze wszystkimi szczegółami rozmowę z panem Paderewskim. Namawiałem usilnie pana Moraczewskiego, ażeby przy tych samych warunkach, jakie stawiałem panu Daszyńskiemu, zgodził się na formowanie rządu. Pan Moraczewski mi uległ, twierdził jednak, że zgodzić się może tylko wtedy, gdy pan Daszyński ustąpi sam od oddanej mu misji, rozmawiać zaś z nim o tem absolutnie nie chciał. Spadła więc ta przykra rozmowa na mnie.

Rozmowa z panem Daszyńskim poszła mi znacznie łatwiej, niż przypuszczałem. Sądzę, że pan Da-

szyński był już bardzo zniechęcony chłodnem przyjęciem, jakie spotkał w Warszawie, tak, że rozmowa mi poszła dość szybko i bez żadnych trudności. Odetchnąłem więc ze znaczną ulgą. Na końcu jednak pan Daszyński postawił mi jedno z najśmieszniejszych wymagań ze wszystkich śmiesznych wymagań, jakie człowiek postawić może, mianowicie — zażądał ode mnie, ażebym go zwolnił od misji za jego kontrasygnatą i żebym wyznaczył pana Moraczewskiego także za jego kontrasygnatą. Zaczął mi przytem tak zawile i z taką mądrą miną przekonywać o konstytucyjnej wartości takiego pierwszego aktu, a pan Moraczewski tak zacięcie i uporczywie milczał przy tem, że zacząłem się obawiać rozchwiania się tak udatnie zakończonej sprawy albo jej odciążenia jeszcze na kilka dni. Machnąłem więc ręką na całą śmieszność, byle sprawę czempredzej zakończyć. Pamiętam, jak pan Daszyński z lubością spoglądał na ten akt konstytucyjny i powiedział: „no, tak, to dobrze“.

Czy pan Daszyński brał udział w utworzeniu rządu pana Moraczewskiego i czy zatem prawdziwemi są sceny, które pan Daszyński opisuje w stosunku do pana Moraczewskiego, — nie wiem, lecz wydaje mi się pewnem, że już nazajutrz pan Daszyński opuścił Warszawę i wyjechał do Krakowa. Dlatego też słowa pana Daszyńskiego na stronie 332: „po pięciu dniach pracy mogłem Naczelnikowi Państwa przedstawić listę gabinetu“

są zupełnie niesłuszne i nieprawdziwe, nie mówiąc już o tem, że tytułu Naczelnika Państwa wtedy nie miałem i nikt o takim tytule wtedy nie mówił.

Nie mogę więc zgodzić się z przypisywaną przez pana Daszyńskiego samemu sobie zasługą, że on, a nie kto inny, utworzył pierwszy rząd polski.

UWAGI DO PAMIĘTNIKÓW
LEONA BILIŃSKIEGO

(„Wspomnienia i dokumenty“ —
tom I i II, Warszawa, 1924).

I.

W stosunku do *Wspomnień i dokumentów* ś. p. Leona Bilińskiego zastosowałem ten sam system, co do pamiętników pana Daszyńskiego, to znaczy, że zwiążuję swoją pracę jedynie z temi miejscami jego wspomnień, gdzie moje nazwisko jest przytoczone. Natomiast nie wchodzę najzupełniej w żadne wywody ani sądy pana Bilińskiego we wszystkich innych miejscach jego wspomnień, których ani czytałem, ani prawdopodobnie nie będę w stanie przeczytać.

1) Po raz pierwszy nazwisko moje spotyka się na stronie 295 pierwszego tomu, gdzie pan Biliński, występując przeciwko generałowi Conradowi, głównemu dowódcy armji austriacko-węgierskiej, pisze: „kiedy całe społeczeństwo polskie w Galicji we wszystkich bez wyjątku stronnictwach stanęło po stronie Legjonów, kiedy naczelnik tajnej organizacji warszawskiej, Józef Piłsudski, złożył dobrowolnie tę godność, ażeby swoją organizację niezawisłościową połączyć z organizacją legjonową,—pan generał Conrad nie przychylił się w swej głównej kwaterze do ustnej prośby prezesa Lea, by

Legjony, zmuszone łączyć się z armją austro-węgierską, jako część tak zwanego *Landsturmu*, mogły do przysięgi wierności cesarzowi dodać wierność ojczyźnie polskiej“.

W tej cytacie nie mogę nie zatrzymać się na nadaniu mi godności naczelnika tajnej organizacji warszawskiej. Z wrażeń moich to jakieś tajemnicze nazwanie mojej godności w przeciwstawieniu do jawnej organizacji galicyjskiej jest może najbardziej charakterystyczne dla pojęć ówczesnej Galicji. Ignorancja panów Galicjan w stosunku do zaboru rosyjskiego przekraczała wszelką wyobrażalną miarę. Po raz pierwszy zetknąłem się z tem przy moich stosunkach z Naczelnym Komitetem Narodowym i z wielką ilością oficerów polskich, którzy służyli w armji austriacko-węgierskiej, a byli oni wszyscy informatorami we wszystkich dowództwach armji austriackiej. Dla charakterystyki przytoczę jedną zabawną rozmowę, którą w samym początku wojny toczyłem z jednym z takich panów. Kiedym, mówiąc o sytuacji w zaborze rosyjskim, wspomniał o Łodzi, jako o Manchesterze polskim i jako o mieście, posiadającym więcej, niż pół miliona mieszkańców, pan ten prawie się obraził, twierdząc, że na miano Manchesteru zasługuje Bielsk i Andrychów. Tak wielką była ta ignorancja w geografji, statystyce, w podziale administracyjnym i, co najgorsza, w historji wszystkich części Polski z wyjątkiem swoiście ujętej historji Galicji.

Byłem ciągle zdumiony, jak armja austro-węgierska jest słabo przygotowana pod względem znajomości głównego teatru wojny, który miała, to jest zaboru rosyjskiego. Znajomość ta była znajomością kretyna, zupełnie zidjocialego. A — powtarzam — informatorami z urzędu w całej Austrii byli Galicjanie.

2) Drugi raz w pierwszym tomie nazwisko moje jest wspomniane na stronach 299—300. Całe opowiadanie w tem miejscu — jest to tak śmiesznie zmyślona bajeczka z zupełnie zmyślonymi szczegółami, że aż wierzyć się nie chce, aby mogło to wyjść z pod pióra pana Bilińskiego, człowieka doprawdy wyższej miary, który tu wychodzi, jak jakiś opowiadacz zupełnie fałszywych anegdot.

Więc przedewszystkiem z panem Bilińskim widziałem się w życiu mojem wyraźnie dwa razy, więc wszystkie opowiadania o jakichkolwiek z nim stosunkach z mojej strony są nieprawdziwe i zmyślane. Pierwszy raz spotkałem się z nim nie na wiosnę 1915 roku, lecz na wiosnę 1916. Z całego roku 1915 byłem w Galicji pierwsze dwa miesiące, to jest styczeń w Lipnicy Murowanej, niedaleko od frontu, cały zaś koniec stycznia i luty w Kętach pod Oświęcimiem, gdzie stałem w rezerwie dowództwa armji austrjackiej na odpoczynku i reorganizacji i pana Bilińskiego nigdy tam nie widziałem. Drugi raz w tym roku gdzieś w początkach czerwca przejeżdżałem przez Kraków do Cieszyna

do głównej kwatery austriackiej armji, gdyż byłem tam wezwany i miałem otrzymać odznaczenie nie gdzieindziej, jak w głównej kwaterze, i wtedy po raz pierwszy i ostatni rozmawiałem z generałem Conradem, który mnie przeproszał za zbyt małe odznaczenie i wysunięcie do góry, gdyż moją pracę na froncie cenił bardzo wysoko. Zatrzymałem się zaś w Krakowie jeden dzień, jadąc do Cieszyna, i jeden lub dwa dni, jadąc zpowrotem. Pana Bilińskiego i tym razem tam nie widziałem. Miałem zaś rozkaz śpieszenia stamtąd na front jak najbardziej. Cała reszta 1915 roku minęła mi na froncie albo w Królestwie, albo na Wołyniu, gdzie wreszcie przed Bożem Narodzeniem zapadłem na bardzo ciężką grypę. Już po świętach dostałem dłuższy urlop na odbycie rekonwalescencji, którą odbyłem we Lwowie, i pamiętam dobrze, że ostatni dzień mego pobytu we Lwowie był dzień 19 marca, gdym był w teatrze, urządzonym mi przez miasto w dzień moich imienin z wieczną *Halką*. Wyjechałem stamtąd do Cieszyna, gdyż zostałem tam wezwany. Tam rozpocząłem, jak zwykle, stały proces o nielitościwe i stałe szykany, zwrócone przeciwko Brygadzie, którą dowodziłem, przyczem twierdziłem, że pozostać długo nie będę w stanie w takich warunkach i że będę zmuszony podać się do dymisji, jeżeli te paskudne warunki nie ustaną. Nie pamiętam, czy te rozmowy trwały jeden czy dwa razy, gdyż wkońcu ogłoszono mi,

że zostaną zarządzone poważne zmiany w organizacji Legjonów w duchu moich żądań. Przy końcu zaś pan pułkownik Hranilowić zaproponował mi nagle wolny przejazd do Wiednia. Odmówiłem dlatego, że nie miałem żadnego interesu jeździć do Wiednia. Pan Hranilowić zaczął jednak mnie namawiać, tak, że byłem tem niezmiernie zdziwiony i wreszcie pan pułkownik powiedział, że dlatego mnie namawia, że może dobrze byłoby i dla mnie, gdybym się zobaczył z ekscelencją Bilińskim. Zastanawiałem się kilka chwil nad tem, bo była to dla mnie zupełna niespodzianka, po chwili odpowiedziałem, że mogę pojechać i do Wiednia i pan pułkownik wydał przy mnie zarządzenie o wydanie mi dokumentu podróży do Wiednia. Dotąd zrozumieć nie mogę, co za cel miał pułkownik Hranilowić, tak usilnie namawiając mnie do zobaczenia się z panem Bilińskim.

Po przyjeździe do Wiednia przykomenderowano do mnie nieznanego mi wcale dotąd pana Habichta, który z moim adjutantem Wieniawą układał wszystkie rozmowy, które miały być przeprowadzone. Rozmowa moja z panem Bilińskim trwała nie więcej, jak kwadrans lub dwadzieścia minut. Nie tyczyła się ona żadnej poważnej rzeczy ani też nie była związana z zagadnieniami jakiegokolwiek, które mnie obchodziły. Ja nie nastawałem na nic i czekałem cierpliwie, co za interes mógł mieć pan Biliński do mnie, sam zaś pan Biliński z jakimś

dobrotliwym uśmiechem wyrażał swą radość z powodu zobaczenia mnie, tak sławnego żołnierza, i twierdził, że teraz, gdy tyle z moich żądań zostało spełnione, mogę być spokojny, że nikt mi teraz żadnej krzywdy nie zrobi, twierdząc, że on zna osobiście bardzo dobrze generała Puchalskiego i że ten jest także bardzo dobry żołnierz i bardzo dobry człowiek. Pan Biliński zrobił na mnie wrażenie jednego z bardzo wielu ówczesnych Polaków. O wojsku nie chciał mówić, gdyż zupełnie się na tem nie znał, natomiast Legjony najprawdopodobniej uważał za jakąś głupią zabawkę, która biednemu Bilińskiemu, jak i wielu innym galicyjskim biednym mężom stanu, robi tylko kłopoty. Rozmowa, niestety, nie podtrzymawana mocno przeze mnie, zakończyła się bardzo szybko. Nie przypominam sobie ani jednej kwestji, obchodzącej czy mnie, jako polityka, czy też mnie, jako oficera, którąby pan Biliński ze mną poruszył, lub okazał jakiegokolwiek zainteresowanie.

Z pobytu mego w Wiedniu najbardziej zajęła mnie rozmowa, jaką miałem na obiedzie u pana Korytowskiego i to nie z panem Korytowskim, który miał ten sam typ, co pan Jaworski i pan Biliński, ale z panem Koźmianem, autorem słynnej niegdyś książki *Rzecz o 1863 roku*. Pan Koźmian był zaproszony na ten obiad, gdyż chciał się ze mną poznać. Pytał zaś mnie o stosunki na froncie i o zatarg mój z austriackim

wojskiem. Pamiętam dobrze, gdy mu opowiadałem o niezwykle hardem zachowaniu się wszystkich moich podwładnych w stosunku do armji austriackiej jako odpowiedź na ciągłe szykany, stosowane przez nią w stosunku do nas, to gdy pan Korytowski ciągle niespokojnie się oglądał, spoglądając podejrzliwie na drzwi, czy ktokolwiek nie słyszy, to u pana Koźmiana stopniowo zapalały się niebieskie oczy i widać było człowieka, który ongiś przeżył sam wypadki 1863 roku. Zawsze mówiłem, że miałem do czynienia z dwoma pokoleniami: jedno, co umiało walczyć i żyć w wojnie, drugie — które uległo i dobrze się czuło w niewoli.

Wobec tego, com napisał już o widzeniu się mojem z panem Bilińskim w Wiedniu na wiosnę 1916 roku, pozostaje mi tylko zwyczajne sprostowanie wszystkich fałszów, w skomponowanej bajeczce, pomieszczonej o mnie na stronach 299 i 300 w pierwszym tomie *Wspomnień* pana Bilińskiego.

Więc: a) Nigdy żadnej rozmowy z panem Bilińskim nie miałem wspólnie z generałem Puchalskim, żadnej misji mu nie poruczałem do godzenia mnie z Puchalskim.

b) Po raz pierwszy poznałem pana Bilińskiego na wiosnę 1916 roku i nigdy przedtem nie odwiedzałem go przy Johannesgasse.

c) Nigdy pan Habicht nie był mnie „bliskim“ i nigdy „na konferencji w biurze prezesa Koła“ z panem Habichtem nie byłem.

d) Wszystkie szczegóły zatem, z tą konferencją związane, są absolutnie zmyślane.

e) „Gwoli politykowania“ nie byłem „na drugi dzień“ u pana Bilińskiego i nie omawiałem z nim „całej kwestji austro - polskiej, nie wyłączając wojskowej“.

f) Cała reszta rozmowy, związanej z „komendą niemiecką“ i „obroną krajową“, jest całkowicie zmyślona, jak i wizyta w hotelu Müllera, którą jakoby składał mi pan Biliński.

Wreszcie

g) Nigdy już w niepodległej Polsce nie byłem na żadnej konferencji ministrów, jako Naczelnik Państwa, w której brał udział pan Biliński, jako minister finansów.

II.

W drugim tomie wspomnień pana Bilińskiego cały szereg miejsc, gdzie nazwisko moje jest wspomniane, związane jest z różnemi wypadkami, gdzie właściwie moje nazwisko jest użyte dla komplementów pod moim adresem. Dlatego też te miejsca pomijam. Zatrzymam się na tych tylko.

które mają do czynienia z faktami i moją pracą, związaną z panem Bilińskim.

Tak więc na stronach 203 i 204 pan Biliński opowiada o objęciu przez niego teki ministra finansów.

Pamiętam dobrze, że któryś z prezesów ministrów zgłosił się do mnie z propozycją wzięcia na ministra finansów pana Bilińskiego. Ja zaś wyraziłem na to zgodę. Miałem wtedy z nim jedną jedyną rozmowę, gdy się pan Biliński przedstawił mi w Belwederze. W rozmowie tej, to pamiętam dobrze, wskazałem mu na jeden punkt — na mus usunięcia ze wszystkich zakamarków finansowych rubla rosyjskiego, gdyż, zdaniem mojem, niema on już żadnej wartości. Wskazałem przytem, że napotka on pewno wielkie trudności, gdyż finansowe poglądy Narodowych Demokratów i ich głównego finansisty, pana Władysława Grabskiego, idą nie w innym, jak w rublowym kierunku. Poza tem rozmowa, jak słusznie mówi pan Biliński, „wypadła dość blado“. Dodam, że później ani razu pan Biliński nie był u mnie na audjencji ani w parku Belwederskim, ani ja nie byłem z nim nigdy na „ważnych konferencjach ministerjalnych nocnych“.

*

*

*

Inne wypadki, opisane przez pana Bilińskiego wraz z mojem nazwiskiem, nie są mi zupełnie znane i ani rusz przypomnieć sobie nie mogłem, czy kiedykolwiek te sprawy opierały się o mnie. Zatrzymam się więc tylko na jednym wypadku, opisanym na stronie 321, pod tytułem *Propaganda zagraniczna*. Opisuje tam pan Biliński zatarg, jaki miał książę Eustachy Sapieha z panem Daszyńskim w kwestji propagandy zagranicznej. Przytem pan Biliński stawia mnie po stronie pana Daszyńskiego. Mogę zapewnić, że tą sprawą nigdy się nie zajmowałem i dotąd nie zajmuję i dlatego nie wiem nawet, o co tym panom w zatargu chodziło.

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW.

- Baczyński — 52 — 54.
Belina — zobacz Prażmowski Władysław.
Benedek — 36.
Beseler Hans — 68, 70, 76.
Biliński Leon — 17, 18, 89—100.
Boerner Ignacy — 63, 78.
- Conrad — 52, 91, 94.
- Daszyński Ignacy — 17, 18, 21—87, 100.
Długoszowski Bolesław — 95.
Dwernicki — 42, 44.
- Fijałkowski — 53.
Franciszek Józef, cesarz — 36.
- Grabski Władysław — 99.
- Habicht — 95, 98.
Hranilović — 95.
- Jaworski Władysław — 42, 49, 96.
Jodko Witold — 35.
- Karol I, cesarz — 80.
Kasprzycki Tadeusz — 69.
Kordjan — zobacz Zamorski.
Korytowski — 96, 97.
Kozmian — 96, 97.
Kummer — 51.
Kunicki Ryszard — 60.
- Leo Juljusz — 41 — 45, 48 49, 53, 58, 91.
Lichtenstein — 36.
Lieberman — 32, 33.
- Mikołaj II, cesarz — 36.
Moraczewski Jędrzej — 31, 58, 63, 85, 86.
- Paderewski — 84, 85.
Paič — 69.
Prażmowski Władysław — 41.
Puchalski — 96, 97.

Roja — 76, 80.
Rydz Edward — 76, 81, 82.
Sapieha Eustachy — 100.
Seyda Władysław — 73.
Sikorski Władysław — 64,
66, 69.
Sławek Walery — 34, 37,
62.
Sokolnicki Michał — 34,
37, 60, 62.
Sosnkowski Kazimierz —
27, 72.
Stroński — 25.

Śliwiński Artur — 83.
Śliwiński Hipolit — 55.
Śmigły — zobacz Rydz
Edward.
Wieniawa — zobacz Dłu-
goszowski Bolesław.
Zagórski Włodzimierz —
52, 54, 63.
Zamorski — 63.
Żuliński Tadeusz — 65, 66,
69.

SPIS RZECZY.

	str.
Przedmowa	5
Uwagi do pamiętników Ignacego Daszyńskiego . . .	21
Uwagi do pamiętników Leona Bilińskiego	99
Skorowidz nazwisk i pseudonimów	I

